

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

W Karkonoszach	Krzysztof Gdula	3
Jeleniogórskie podziemia	Krzysztof Tęcza	6
Opieka nad dziedzictwem archeologicznym Śląska do końca II wojny światowej	Rafał Śledzik-Kamiński	7
Wrocław w 1960 r. i dziś	Janusz Fuksa	10

OJCZYSTE SZLAKI

Godło „Pod kozicą” – obyczaj zobowiązuje	Ryszard M. Remiszewski	11
--	------------------------------	----

EKOLOGIA NA SZLAKU

Dobry przykład z Łapsowej	Juliusz Wysłouch	13
---------------------------------	------------------------	----

TRASA MIESIĄCA

Na Mogielicę i Łopień w jesiennych barwach	Juliusz Wysłouch	14
XIX Spotkanie Śladowe Jaworki 2019	Juliusz Wysłouch	16

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Pierwsza ofiara zimy w Tatrach	Juliusz Wysłouch	17
--------------------------------------	------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

10. Kolej w góry	Jan Kozdrowski	19
42. wycieczka Rajdu na Raty – w setną rocznicę odzyskania niepodległości	Krzysztof Tęcza	20
Forum Publicystów Krajoznawczych na Ziemi Jeleniogórskiej 2018	Krzysztof Tęcza	21
Konferencja dotycząca projektu budowy ścieżki rowerowej	Krzysztof Tęcza	27
VI konferencja z cyklu „Budowanie w pięknym krajobrazie”	Krzysztof Tęcza	28
XIX Ogólnopolski Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK w Karpaczu	Krzysztof Tęcza	31
Zlot DTMZ w Byczynie	Krzysztof Tęcza	32
Marian zaprasza do Ojcowa	Sławomir Chojnacki	33

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Benedykt Dybowski	Janusz Fuksa	36
-------------------------	--------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Pożegnanie Włodzimierza Bayera	Krzysztof Tęcza	38
--------------------------------------	-----------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Trekking do krateru wulkanu Pinatubo	Zbigniew Norbert Piepiora	40
--	---------------------------------	----

**Na okładce: Szopka Bożonarodzeniowa w restauracji „Matam-ih – Autentyczna kuchnia
Kapampangan”, Clark Freeport Zone w prowincji Pampanga, Luzon Środkowy, Filipiny, 26.10.2018.
Fot. Zbigniew Norbert Piepiora**

W Karkonoszach

Trasa: z ulicy Olimpijskiej w Karpaczu zielonym szlakiem na Polanę, jest to Droga Bronka Czecha, dalej niebieskim na Rozdroże koło Spalonej Strażnicy *via* Kozi Mostek, Mały Staw, schroniska Samotnia i Strzecha Akademicka. Następnie dojście czerwonym szlakiem do Słonecznika i żółtym do Pielgrzymów. Powrót żółtym szlakiem do Polany i zielonym do Karpacza.

Buty założyłem najmasywniejsze, najtwardsze, wszak wybierałem się w wysokie góry, zapomniawszy o przygotowaniu karkonoskich szlaków, wyrównanych i bez błota. Równie dobrze mógłbym założyć lekkie buty, które na bezdrożach kaczawskich sprawdzają się tylko w suche dni.

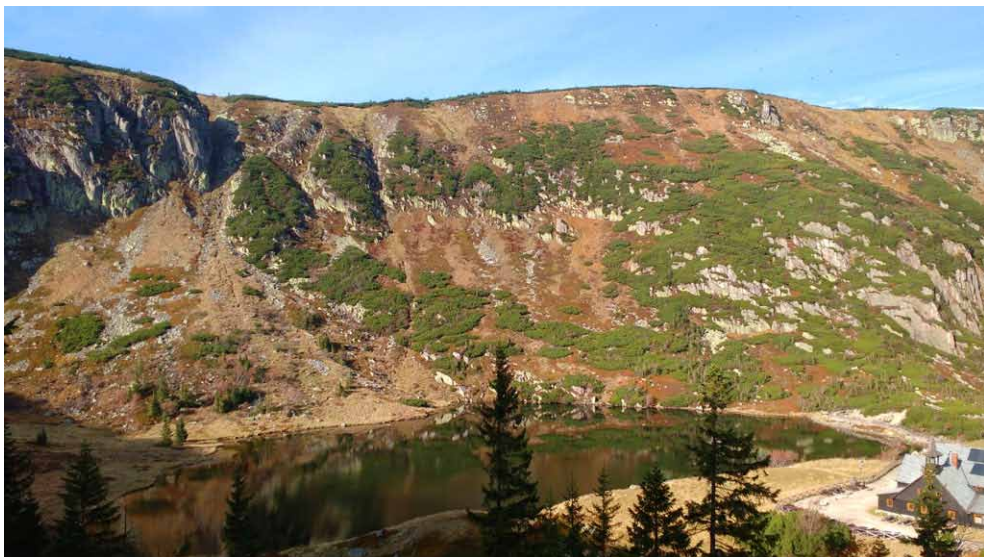
Idąc często porównywałem drogi oraz widoki tutaj i w moich górach.

Szlaki przygotowane ogromnym nakładem pracy są pierwszą różnicą, drugą zauważyłem na platformie widokowej urządzonej na szczycie pionowej skały wznoszącej się nad jarem strumienia Płasawa, a później także w wielu innych miejscach. Otóż, o ile nie raz zdarzało mi się iść w moich górach zalesionym zboczem bez drogi, co nie jest trudne, a przy zachowaniu elementarnych zasad nie jest niebezpieczne, tutaj marsz taki byłby w najlepszym razie bardzo trudny, często niemożliwy ze względu na urwiska i zwaliska drzew na stromych zboczach. W tych górach trzeba trzymać się szlaku nie tylko z powodu nakazów prawa, ale i rozsądku.



Kocioł Małego Stawu

Przyznać jednak muszę, że ukształtowanie terenu w pobliżu strumienia zrobiło na mnie wrażenie. Skalne baszty wysokości kilkunastu metrów, złomy wielkości samochodu leżące na ciemnym dnie, szczyty świerków widziane z góry, kamieniste dno strumienia ledwie widocznego w mroku, splątanie martwych i żywych drzew, dały mi obraz dzikiej górskiej przyrody.



Kocioł Małego Stawu i schronisko „Samotnia”

Takie miejsca uświadamiają prawdę nie zawsze pamiętaną czy znaną: dzika przyroda bywa niebezpieczną przyrodą, ponieważ góry nie wiedzą, że mianowaliśmy się panami Ziemi i oczekujemy nagięcia praw natury do naszych oczekiwań. To oczekiwanie, ten brak przezorności,

w którym można dopatrzyć się braku szacunku, widać na szlaku. Kobiet w szpilkach nie widziałem, ale jedna szła w miejskich kozakach, wielu w trampkach obecnie nazywanych adidasami, bez odzieży na wypadek załamania pogody, a najczęściej bez oglądania się na możliwości i czas. Godzinę przed zapadnięciem ciemności widziałem idącą pod górę kobietę niosącą paroletnie dziecko na biodrze. Szła na spacer? Tym szlakiem nie da się iść bezpiecznie w ciemnościach, zwłaszcza z dzieckiem na ręku, a i widoków nie ma. Szła do schroniska? Do najbliższego było stamtąd dobre dwie godziny marszu.



Kocioł Małego Stawu i „Samotnia”. W głębi Śnieżka

Widziałem też chłopca, którego rodzice zostawili z tyłu. Gdy doszedł do miejsca ich odpoczynku, usiadł i głowę schował w ramionach, jakby płakał. Miał około 10 lat, więc dziecko jeszcze, a nie młodociany macho, któremu daje się szkołę męskości.

Obok wielu plusów, te góry mają poważny minus: żeby dostać się na wierzchowinę, na rozległy obszar dalekich i ładnych widoków, trzeba dwie godziny iść lasem pod górę. Podejście nie dłużyło mi się, w czym zasługa towarzystwa i baczego rozglądania się, jednak spora część trasy i czasu może oferować tylko widok świerków przy szlaku. Już na polanie nazywanej Polaną, gdy tylko wyszliśmy z lasu, zobaczyłem ściany kotła Małego Stawu. Półokrągły twór geologiczny zwany karem, kotłem lub cyrkiem lodowcowym, wyżłobił lodowiec, a gdy ustąpił, pojawił się człowiek i postawił schronisko Samotnia, w którym, wbrew nazwie, na pewno nie można poczuć się samotnym, bo budynek niemały, a ludzi tam wielu. Na dnie jest jezioro nazywane Małym Stawem, z trzech stron otoczone stromymi, miejscami urwistymi ścianami o wysokości do dwustu metrów. Czynią one potężne wrażenie i to zarówno przy oglądaniu ich z brzegu stawu, czyli od dołu, jak i ze ścieżki biegnącej górą, tuż przy przepaści. Oczy przyciągają kolory: od żółknącej zieleni starych traw, poprzez seledynowe barwy porostów na skałach, po ciemną, intensywną, a z daleka niemal czarną zielen kosodrzewiny; tu i ówdzie na zboczach rosną czerwone teraz rośliny przypominające czarne jagody; oczywiście skały, od szarych po jasne, pastelowe barwy złomów mytych deszczami przez wieki. Jednak najbardziej urokliwymi akcentami kolorystycznymi były jarzębiny. Te drzewa potrafią przeżyć tam, gdzie nawet świerki i buki sobie nie radzą.



Kocioł Wielkiego Stawu i Pielgrzymy

Stoją wykręcone wiatrami i mrozami, z uschniętymi gałęziami; wydawałoby się, że ledwie żyją, a obsypują się owocami mimo skrajnych warunków. W tym surowym świecie skał i zimnej zieleni świerków, nasyciona czerwien jarzębin była po prostu piękna.

Same zbocza są imponujące. Tak wielkie, że przy nich czuje się znikomość człowieka, maleńkiej mrówki na dnie nie największego przecież twor

natury. W wielu miejscach widać stożki usypiskowe – miejsca spoczynku skalnych okrucich odpadłych od masywu. Liczne są żleby, którymi płyną wody i zsuwa się rumosz skalny. Prędką wodę, płynącą karkołomnie stromym jarem po zboczu kotła, słysząc wyraźnie z kilkusetmetrowej odległości.

Widok na kocioł z góry jest po prostu piękny, a urozmaica go widok obu schronisk – Samotni i nieco dalszej Strzechy Akademickiej. Obraz od góry koronuje oczywiście szczyt Śnieżki, niewzruszenie

patrzącej na mrówki łączące po jej okolicy. Widok ten jest jedną z wizytówek Karkonoszy, powszechnie wykorzystywany na pocztówkach czy w kalendarzach, jednak prawdziwy jego urok poznać można stojąc tam i patrząc szeroko otwartymi oczami. Niemal cały mieści się w granicach dobrego widzenia, czyli kilku kilometrów. Zaznaczam ten fakt, ponieważ dal biegnąca dziesiątki kilometrów na ogół rozmyta jest niedostateczną przejrzystością powietrza.

Wspomnieć należy o dwóch skałach, wszak były one nieostatnim powodem wędrówki. Słonecznik nie uczynił na mnie wielkiego wrażenia, chociaż skała jest słusznej wielkości i ciekawie pęka, a skrajna kolumna widziana z określonego miejsca jako żywo przypomina postać człowieka. Pewna dziewczynka powiedziała, że przypomina jej dziadka; ciekawe, co zobaczyłaby moja wnuczka...

Natomiast Pielgrzymy okazały się grupą skał imponujących różnorodnością kształtów. Długo chodziłem wśród nich, a gdzie się dało, także po nich, rozglądając się i zaglądając za skalne załomy, często zaskoczony lub zadziwiony formami kamieni i ich układem. Już odchodziliśmy, gdy zobaczywszy na uboczu jeszcze jedną grupkę skał, skręciliśmy ku nim.

Wracając zwróciłem uwagę na warunki życia drzew. Przeważają tam świerki, zapewne sadzone ręką człowieka. Pewien leśniczy niemiecki powiedział o takim lesie, że jest nieszczęśliwy. Wspomniałem tę myśl widząc dużą ilość wykreconych i obumarłych pni świerkowych; do kłopotów wynikłych z nienaturalnego zaistnienia, swoje dodaje tamtym lasom uboga gleba i surowe warunki klimatyczne.

Widziałem jednak dwa świerki niezważające na niepowodzenia swoich rodziców: miały grubość palca i rosły na stojącym jeszcze, spróchniałym pniu martwego już drzewa. Widok symboliczny i pocieszający.



Pielgrzymy

Pielgrzymy

Na szlaku było dużo ludzi. Dla mnie, kaczawskiego wędrowcy, za dużo, niemal tłocznie. W moich górach przeważają dni, gdy nie spotkam nikogo, a skoro w październikową niedzielę widziałem w Karkonoszach parę setek ludzi, ile ich jest w lecie?

Dobrze, że nie podobają się im moje góry. Niech tak zostanie.

Krzysztof Gdula

Jeleniogórskie podziemia

Wszyscy wiedzą, że pod Wzgórzem Kościuszki istnieją podziemia wykonane kiedyś jako schron dla mieszkańców miasta, na wypadek zagrożenia wojennego. Podziemia te po II wojnie światowej wykorzystywano w różny sposób. Znajdowały się tu magazyny Centrali Rybnej, po których przez wiele lat nie można było pozbyć się zapachu ryb. Działała tu dyskoteka, chętnie odwiedzana przez mieszkańców Jeleniej Góry. Później przez długi czas obiekt stał pusty. W tym miejscu aż się prosi, by napisać „i niszczał”. Jednak nie do końca. Bo przecież podziemia wykute w litej skale nie niszczą tak od razu. Na to potrzeba dziesiątek, jeśli nie setek lat. Oczywiście fakt, że podziemia nie były wykorzystywane oficjalnie, wcale nie oznacza, że nie były odwiedzane. Przez lata wchodziło tam wielu ludzi. Byli to pojedynczy poszukiwacze skarbów czy ciekawscy. Były także lepiej lub gorzej zorganizowane grupy zapaleńców chcących poznać tajemnice ukryte pod ziemią, ale także, a może przede wszystkim, dokonać przejścia z ul. Matejki aż do stacji kolejowej. Co jakiś czas pojawiają się wpisy osób twierdzących, że im się to udało, jakkolwiek jest to bardzo wątpliwe. Nie ma dowodu, że jedno i drugie podziemia są połączone ze sobą, co nie oznacza, że ludzie nie próbują tego sprawdzić. Owszem próbują, a raczej próbowali, bo dzisiaj nie ma już takiej możliwości.

Kiedy miasto ogłosiło przetarg na wydzierżawienie podziemi, zamknięto wszelkie drogi penetracji tego miejsca. Przetarg na zagospodarowanie i przygotowanie podziemi do udostępniania publiczności wygrała firma Arado. Do tej pory trwały tu prace porządkowe oraz rozpoznawanie możliwości stworzenia ciekawego produktu turystycznego. Aktualnie prace bardzo przyspieszyły i wszystko wskazuje na to, że przed świętami obiekt zostanie otwarty. Będzie to taki mały „prezent” na Gwiazdkę.

Jak na razie firma Arado wykazała wielką otwartość na współpracę z osobami i instytucjami chcącymi przybliżyć historię naszego miasta, co znalazło wyraz m.in. podczas organizowanego przeze mnie „Seminarium podziemnego”. Pierwsza część tego spotkania miała miejsce, dzięki współpracy z panią Gabriellą Zawilą, w Muzeum Karkonoskim. Druga w podziemiach, gdzie kolejna współpracująca ze mną grupa zapaleńców pod wodzą Jarka Strzyżowskiego przedstawiła teatralną zapowiedź sztuki o Miedziance. Przyszło wtedy ponad 200 widzów. Zachęciło to wszystkich zaangażowanych do kontynuowania tego typu działań.



Ponieważ, jak już wspomniałem, firma Arado, zdecydowała się na otwarcie podziemi jeszcze w tym roku, 29 października 2018 roku odbyło się w jeleniogórskiej siedzibie Oddziału Archiwum Państwowego we Wrocławiu zebranie, w którym uczestniczyli Ivo Łaborewicz (kierownik Archiwum), Kamil Zięba (menadżer Arado) i piszący te słowa Krzysztof Tęcza (prezes Oddziału PTTK „Sudety

Zachodnie”). Ustaliliśmy wtedy niejako wytyczne dotyczące sposobu wykorzystania owego obiektu. 30 października 2018 roku spotkaliśmy się ponownie, by przejść korytarze pod Wzgórzem Kościuszki i doprecyzować nasze pomysły. Cały obiekt zostanie podzielony na pewnego rodzaju strefy, w których będą przedstawiane różne epizody z historii Jeleniej Góry oraz okolic. W tej chwili trwają prace nad wyborem ciekawych faktów historycznych i dostosowaniem ich opracowania do potrzeb przyszłych zwiedzających. Chodzi o to, by pokazać jak najwięcej faktów, ale tak, by były one „strawne” dla widzów. Nie ma bowiem nic gorszego niż przedstawianie historii w sposób naukowy. Trzeba tchnąć w nią trochę fantazji, trochę życia.

Podczas przejścia podziemnymi chodnikami mogliśmy zobaczyć postęp prac. Do tej pory wykonano już oświetlenie pierwszej części podziemi. Wybudowano i uruchomiono toalety. Przygotowano pomieszczenie na kasę i kiosk z pamiątkami. Zdemontowano betonową scenę tak, by można było podjąć nowe aranżacje. Niebawem do podziemi wjedzie pociąg, który częściowo zniknie w górotworze. Za kilka dni wejdzie ekipa „czyścicieli” i rozpocznie się drugi etap instalacji oświetlenia w korytarzach.

Teraz czeka nas okres bardzo wytężonej pracy, by osiągnąć zamierzony efekt. Wszystko wskazuje na to, że obiekt ruszy w zakładanym przez firmę Arado terminie.

Krzysztof Tęcza

Opieka nad dziedzictwem archeologicznym Śląska do końca II wojny światowej

Na części stanowisk archeologicznych Dolnego Śląska – grodziska, cmentarzyska, ruiny zamków – można spotkać wykonane z granitu lub piaskowca tablice informacyjne, ustawione przez polskie służby ds. ochrony zabytków archeologicznych (ryc. 1). Mają one formę czworoboku (prostokąta lub kwadratu), gdzie w lewym górnym rogu wykuto akronim WOAK (Wojewódzki Ośrodek Archeologiczno-Konserwatorski), zaś poniżej graficzne przedstawienie międzynarodowego symbolu ochrony zabytków, białobłękitnej tarczy (ryc. 2). Jest to stylizowana pięciokątna tarcza z ostrzem skierowanym w dół – błękitny kwadrat, którego jeden z kątów tworzy ostrze tarczy, nad nim znajduje się błękitny trójkąt, który oddziela od siebie dwa białe trójkąty leżące po obu jego stronach. W części centralnej umieszczono opis użytkowo-funkcjonalny w języku polskim, poniżej chronologię danego obiektu (jeśli była znana).

Pierwszym aktem prawnym o ochronie zabytków archeologicznych na Śląsku było wydane w maju 1595 r. specjalne zarządzenie władz miasta Wrocławia nakazujące oddawanie dzbanów i naczyń znalezionych w ziemi. Osobą, która zainspirowała jego powstanie był cesarz Rudolf II Habsburg, znany koneser sztuki i kolekcjoner wszelkich osobliwości.

Johann Gustaw Gottlieb Büsching – profesor nauk pomocniczych historii i nauki o starożytnościach na Uniwersytecie Wrocławskim – zebrał materiały archeologiczne, które były podstawą dla założenia przyszłego muzeum archeologicznego. Od 1818 r. działał we Wrocławiu Zbiór Starożytności Śląskich, jeszcze bez stałej siedziby. J.G.G. Büsching podjął się jako pierwszy na Śląsku wykonania katalogów zbiorów archeologicznych – katalogi Büschinga A, B, C. Stworzył naukowe podstawy archeologii na Śląsku, uznając zabytki archeologiczne za samodzielne źródła. Zainicjował w latach 20. XIX w. urzędową akcję inwentaryzacji dzieł sztuki i starożytności.

Pod wpływem Büschinga rozwinął działalność naukową profesor Fryderyk Kruse. Wydał on w 1819 r. „Budorgis”, w którym zawarł zestawienie znanych badaczom materiałów archeologicznych ze Śląska.

W 1858 r. we Wrocławiu zawiązało się Towarzystwo do Spraw Powołania Muzeum Starożytności Śląskich, którego staraniem powstało w 1859 r. *Museum Schlesischer Altertümer*, jeszcze wtedy bez własnej siedziby. Jego kustoszem został Hermann Luchs, historyk sztuki. Wydawane było także czasopismo naukowe



Znak Błękitnej Tarczy – symbol ochrony obiektów kultury przed atakiem w przypadku konfliktu zbrojnego

„Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift”. Rudolf Drescher prowadził w nim kronikę odkryć i znalezisk archeologicznych na Śląsku.

W 1877 r. wydano we Wrocławiu pierwszą mapę ścienną Śląska z zaznaczonymi na niej stanowiskami archeologicznymi, podzielonymi według epok: kamienia, brązu i żelaza. Autorem tego kartograficznego opracowania był J. Zimmermann.

W roku 1885 powołano w Prusach prowincjonalnych konserwatorów zabytków archeologicznych. W oparciu o nauczycieli (zwłaszcza wiejskich) oraz byłych wojskowych stworzyli oni sprawnie działającą sieć informatorów o odkryciach archeologicznych.

Otwarcie nowego *Schlesisches Museum für Kunstgewerbe und Altertümer* (Śląskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności) w 1899 r. we Wrocławiu, było znaczącym wkładem w rozwój śląskiego muzealnictwa i ochronę zabytków archeologicznych. Działem Prehistorii kierował dr Hans Seger. W 1919 r. na etacie kustosa zatrudniono dr. Martina Jahna.

W 1909 r., chcąc zapobiec negatywnym zjawiskom – niszczeniu stanowisk archeologicznych, ich rabunkowi i nielegalnemu handlowi nimi – które na przełomie XIX i XX w. dotknęły państwo pruskie, powołano zespół złożony z archeologów i prawników mający opracować nowe regulacje prawne. Ustawa o ochronie zabytków archeologicznych była gotowa w 1912 r., zaś w 1914 r. została przyjęta przez posłów Landtagu w Berlinie i ogłoszona w „Preussische Gesetzsammlung”. Jednakże nie weszła w życie, gdyż nie przygotowano przepisów wykonawczych. Wybuch I wojny światowej sprawił, że prace nad nimi ukończono w 1919 r., a ogłoszono je w 1920 roku.

Ustawa dokładnie określała, kto z urzędu w danej prowincji państwa pruskiego sprawuje opiekę i ochronę nad zabytkami archeologicznymi – *Staatlicher Vertrauensmann für die Bodenaltertümer*, czyli Mąż Zaufania Publicznego ds. Zabytków Archeologicznych. W przepisach wykonawczych uszczegółowiono zakres jego praw i obowiązków.

Nadprezydent Prowincji Śląskiej powierzył tę funkcję w 1921 r. Hansowi Segerowi, który był także dyrektorem zbiorów *Altertumsmuseum* (Działu Prehistorii Śląskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności) oraz profesorem Katedry Prehistorii Uniwersytetu Wrocławskiego. Z jego inicjatywy powołano we Wrocławiu w 1931 r. *Landesamt für Vorgeschichtliche Denkmalpflege* (Krajowy Urząd Ochrony Zabytków Prehistorycznych) z Martinem Jahnem jako dyrektorem. Urząd swój pełnił do 1934 r, kiedy to został powołany na stanowisko profesora prehistorii na Uniwersytecie Wrocławskim.

Dział Prehistorii Śląskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności pełnił do 1931 r. terenową służbę konserwatorską w zakresie ochrony zabytków archeologicznych, kiedy to jego obowiązki przejął w marcu Krajowy Urząd Ochrony Zabytków Prehistorycznych we Wrocławiu, którego dyrektorem został dr Martin Jahn.

Dzięki współpracy z nauczycielami już w 1931 r. urząd otrzymał 956 meldunków o odkryciach i znaleziskach zabytków archeologicznych. W 1932 r. złożono 1064 meldunki. Raporty te były rozpoznawane i oceniane pod względem merytorycznym, a pozyskane w ten sposób informacje nanoszono na mapy w skali 1:25 000 oraz ewidencjonowano je.

Hans Seger wypracował model ochrony i opieki nad zabytkami. Katedra Prehistorii kształciła kadry niezbędne do pracy naukowej, Krajowy Urząd Ochrony Zabytków Archeologicznych zajmował się ochroną i pozyskiwaniem zabytków, Dział Prehistorii Śląskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności odpowiadał za opracowanie naukowe, przechowanie oraz eksponowanie pozyskanych zabytków archeologicznych, Mąż Zaufania Publicznego ds. Zabytków Archeologicznych koordynował współpracę pomiędzy tymi instytucjami.

Chcąc rozpowszechnić osiągnięcia archeologów Hans Seger zainicjował działalność wydawniczą. W 1922 r. został redaktorem czasopisma naukowego „Altschlesien”, które specjalizowało się w archeologii pre- oraz wczesnodziejowej Śląska. Od 1926 r. wydawał także „Altschlesische Blätter”, czasopismo popularnonaukowe.



Grodzisko Żmigródek (Zapadły Zamek) – granitowa tablica informacyjna

Landesamt für Vorgeschichtliche Denkmalpflege (Krajowy Urząd Ochrony Zabytków Prehistorycznych) został przemianowany w 1937 r. na *Landesamt für Vorgeschichte* (Krajowy Urząd Prehistorii we Wrocławiu). Dyrektora wspierali w jego obowiązkach kustosze: dr Ernst Petersen, dr Fritz Geschwendt oraz asystent dr Lothar Zotz. Objęcie 1.05.1934 r. przez dr. Martina Jahna katedry na uniwersytecie wymusiło zmiany kadrowe w obrębie urzędu. Nowym dyrektorem mianowano dr. Ernsta Petersena, a jego zastępcą dr. Fritza Geschwendta. Nominację na kustosa otrzymał dr Lothar Zotz, nowym członkiem zespołu został dr Kurt Langenheim.

Objęcie katedry uniwersyteckiej w 1939 r. przez dr. Ernsta Petersena pozbawiło urząd dyrektora – na jego miejsce mianowano dr. Fritza Geschwendta, z wykształcenia nauczyciela. Dr Lothar Zotz pracował we Wrocławiu do 1938 r., następnie został dyrektorem urzędu w Berlinie.

W urzędzie pracował także dr Werner Boege, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, który w 1936 r. został przeniesiony do Szczecina, zaś w 1938 r. stanowisko asystenta objął dr Hans Urbanek z Marburga.

Przemiany polityczne w Niemczech w 1933 r. odcisnęły swoje piętno także na archeologii. Po zjeździe partyjnym w Norymberdze w 1934 r. powołano nową ogólnoniemiecką instytucję archeologiczną *Reichsbund für Vorgeschichte* (Państwowy Związek Niemieckiej Prehistorii). Prezesem śląskiego oddziału mianowano Hansa Segera.

Landesamt für Vorgeschichtliche Denkmalpflege (Krajowy Urząd Ochrony Zabytków Prehistorycznych) przemianowany w 1937 r. na *Landesamt für Vorgeschichte* (Krajowy Urząd Prehistorii we Wrocławiu) prowadził rejestrację i kierował systemem ochrony zabytków archeologicznych. Miał swoje delegatury terenowe: w Raciborzu, zajmującą się Górnym Śląskiem, z dr. Georgem Raschke jako dyrektorem oraz w Zgorzelcu, powstała w 1936 r., która zajmowała się obszarem Górnych Łużyc pod kierownictwem dr. Hansa Adolfa Schultza. Zapleczem naukowym była Katedra Prehistorii i Okresów Wczesnohistorycznych, przestrzenią wystawienniczą dla zabytków archeologicznych dysponowało Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności (7 sal przeznaczonych tylko dla zabytków archeologicznych).

W roku 1926 istniało na Śląsku 39 muzeów i izb pamięci, w 1927 r. – 48 takich ośrodków, zaś w 1928 r. ich liczba wzrosła do 52. Najczęściej prowadzili je nauczyciele lub byli wojskowi.

Także w większych miastach Prowincji Śląskiej – Bytomiu, Kłodzku, Jeleniej Górze, Zielonej Górze, Zgorzelcu – w latach 30. XX w. tworzone działy i wystawy archeologiczne.

Wybuch II wojny światowej poważnie osłabił instytucje odpowiedzialne za ochronę zabytków archeologicznych. Do armii powołano archeologów i ich terenowych współpracowników, część z nich zginęła: dr Friedrich Hufnagel, dr Walter Klammt, dr Ernst Petersen, dr Hans Urbanek. W 1943 r. zmarł Hans Seger.

Bibliografia:

K. Demidziuk, „Hans Seger – prehistoryk” [w:] „Wybitni wrocławianie. Z niemieckiej i polskiej historii miasta”, red. I. Lipman, J. Nowosielska-Sobel, Wrocław 2007, s. 78–85.

J. Kramarek, „Z dziejów archeologii na Śląsku”, część I, „Silesia Antiqua” t. 11/1969, s. 225–243.

J. Kramarek, „Z dziejów odkryć archeologicznych na Śląsku”, część II, „Silesia Antiqua” t. 12/1970, s. 197–225.

J. Kramarek, „Z dziejów odkryć archeologicznych na Śląsku”, część III, „Silesia Antiqua” t. 13/1971, s. 223–254.

T. Kulak, „Dolny Śląsk w latach 1806–1918” [w:] „Dolny Śląsk. Monografia historyczna”, red. W. Wrzeński, Wrocław 2006, s. 377–506.

J. Nowosielska-Sobel, G. Sobel, „Dolny Śląsk w latach 1918–1945” [w:] „Dolny Śląsk. Monografia historyczna”, op. cit., s. 507–624.

Rafał Śledzik-Kamiński



Wrocław w 1960 r. i dziś

Kontynuując temat z poprzedniego numeru czasopisma, proponuję dziś porównanie kilku zdjęć z 1960 r. i 2018 r. przedstawiających gmachy RENOMY i OPERY we Wrocławiu.

Zdjęcia: *Janusz Fuksa*



Godło „Pod kozicą” – obyczaj zobowiązuje

W Szczawnicy tradycja wieszania godeł na budynkach jest kontynuowana i nadanie każdego nowego jest pewnego rodzaju świętem. Umieszczanie drewnianych tablic (czegoś w rodzaju szyldów z nazwą i malowidłem), zwanych godłami szalayowskimi, jest miejscowym obyczajem, kultywowanym zarówno w Niżnej, jak Wyżnej Szczawnicy. Pomysł przypisuje się samemu Józefowi Szalayowi.

Za czasów Józefa Szalaya nie było gdzie przyjmować gości przyjeżdżających do Zdroju na leczenie. W chałupach były izby bez podłóg, komina, okna bez szyb, a błoto wokół zagrody było na porządku dziennym. Szalay zmuszał do szklenia okien, budowy kominów i zakładania podłóg, a w zamian górale mieli prawo do umieszczenia nad drzwiami godła, które poświadczało pewien standard.

W swoim przewodniku po zdroju Józef Szalay obwieszczał gościom w niezwykle prosty sposób: *Godła oznaczają, że się wynajmuje!* Kto nie posiadał godła, nie mógł liczyć na gości – mechanizm zadziałał i powoli do miejscowej tradycji godła weszły na stałe. Honorem było posiadać godło, a nadawano je w uroczystej oprawie, grała orkiestra zdrojowa, odrzwia na ten dzień ozdabiano girlandami z jedliny.

Wiemy, co Józef Szalay napisał o godłach w swoim przewodniku po Zdroju, ale jednego nie przewidział – że staną się one – jak to się obecnie mówi – produktem turystycznym.

Doliczono się 105 tablic powstałych w różnych latach, niewiele przetrwało. Oprócz Józefa Szalaya tablice w minionych latach malowali: Józef Bieniek, Jan Papież i Jan Zachwieja, a w ostatnich latach w ich odtwarzaniu uczestniczył Wietek Kołodziejski.

Tablice w Szczawnicy to tradycja, także kreowanie nowej jakości poprzez stworzenie szlaku turystycznego, który łączy w sobie historię i teraźniejszość. Szlak godeł Szalayowskich sprawia, że turyści mogą zwiedzać



Uroczystość pod Ośrodkiem



**Przekazanie godła kustoszowi
przez burmistrza Szczawnicy Grzegorza Niezgodę**

źródł wędrując od domu do domu, od tablicy do tablicy. Renowacje oraz rekonstrukcje drewnianych tablic pozwoliły na wytyczenie w Szczawnicy jedynego i niepowtarzalnego szlaku promującego miasto.

W 30. rocznicę powstania Pienińskiego Ośrodka Historii Turystyki Górskiej w Szczawnicy, Urząd Miasta i Gminy (na wniosek Oddziału Pienińskiego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego) przyznał Ośrodkowi tablicę Szalayowską „Pod kozicą”. W czasie gali w Dworcu Gościennym – 27 października 2018 r. – burmistrz Grzegorz Niezgoda wręczył kustoszowi Ośrodka tablicę podkreślając, że w ten sposób Ośrodek dołącza do szlaku godeł Szalayowskich, do rodziny obiektów, które świadczą o oryginalności i wizerunku miejscowości.

Godło „Pod kozicą” doskonale nawiązuje do historycznej odznaki Towarzystwa Tatrzańskiego z głową kozicy. Dla pełnego obrazu przypomnę historię tejże odznaki. W 1906 r. opracowano nowy wzór odznaki Towarzystwa Tatrzańskiego. Zrezygnowano wówczas z symboliki stosowanej za czasów austro-węgierskich: odrzucono szarotkę, a projekt oparto na motywie sprzączki góralskiej z wpisanym wewnątrz rysunkiem głowy kozicy, istniejącej na pieczęci Towarzystwa. Całości dopełniał napis: *Towarzystwo Tatrzańskie* i rok 1874. Odznaka miała wymiary: 27,5 x 40 mm, była bita w mosiądzu w zakładzie J. Walenty w Krakowie.

Po uzyskaniu niepodległości przez Polskę, walne zebranie Towarzystwa w 1919 r. uchwaliło zmianę nazwy na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, formalnie sankcjonując ją stosownym zapisem w statucie dopiero w 1922 r. Od 1933 r. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wprowadziło nowy wzór odznaki według autorskiego projektu Bohdana Małachowskiego. Wizerunek dotychczasowy został pomniejszony i wpisany w zielony, emaliowany otok o średnicy 25 mm z napisem: *Pol. Tow. Tatrzańskie* i przedzieloną końcem sprzączki liczbą 1873 oznaczającą rok założenia Towarzystwa. Odznakę bito w blasze, z zapięciem na śrubkę z zakrętką, w Fabryce Grawersko-Emalierskiej J. Knedlera w Warszawie i w zakładzie grawerskim w Krakowie. W tej formie odznaka przetrwała do 1950 r., kiedy to nastąpiło połączenie PTT i PTK w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (PTTK).

Szczawnicki Oddział PTTK jest spadkobiercą Towarzystwa założonego w 1893 r., najstarszego w obecnych granicach kraju, czyli, rzecz niebagatelna, obchodzącego w tym roku 125-lecie! Zatem tablica „Pod kozicą” doskonale wpisuje się w historię turystyki górskiej w Pieninach.

Tablicę, po nawierceniu otworów i wkręceniu haków, zawiesił na Ośrodku Stanisław Błazusiak, uprzednio na jej odwrocie podpisali się uczestniczący w tym historycznym akcie: Marek Misztal – prezes oddziału, Ryszard M. Remiszewski – kustosz, Jacek Gacek, Stanisław Błazusiak, Janusz Malik i Maciej Ogrodowicz – dzierżawca schroniska „Orlica”.

Ryszard M. Remiszewski



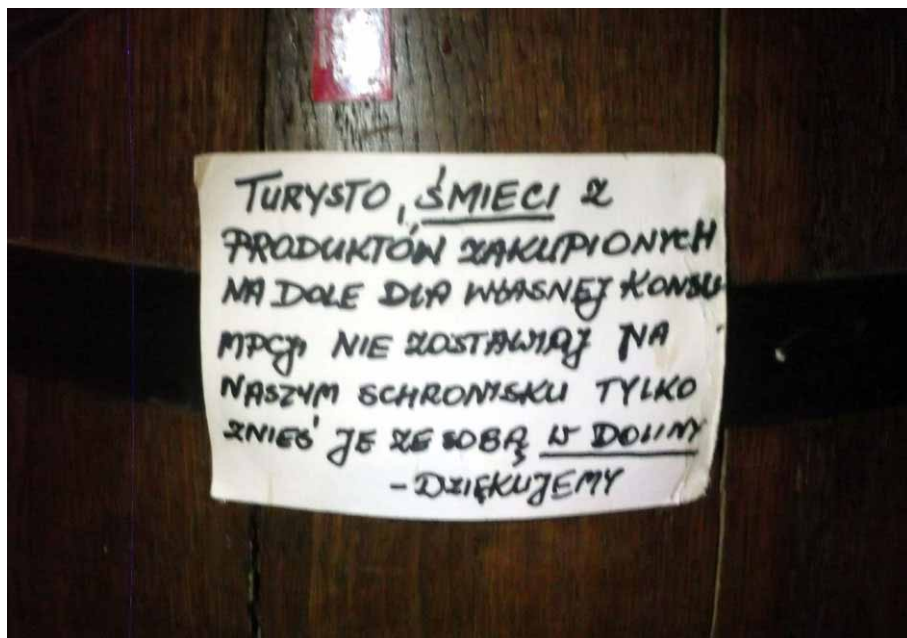
Po uroczystości zawieszenia tablicy



Tablica „Pod kozicą”

Dobry przykład z Łapsowej

Segregacja odpadków w schroniskach górskich jest już codziennością, przynajmniej w teorii, wszak niemal wszędzie są odpowiednie pojemniki na papier, plastiki, metale i szkło. Są nawet osobne kartony na plastikowe nakrętki od butelek po napojach. Nadal w schroniskach stoją kosze i pojemniki na śmieci bez segregacji. Powinny służyć do pozbycia się drobnych odpadków, ot takich jak papierek od kupionego w schronisku cukierka czy czekolady, zużytej jednorazowej chusteczki itp. Tymczasem wycieczkowicze i turyści wrzucają tam to, co przynieśli ze sobą z dołu. W schronisku **na Łapsowej Polanie w Górcach** jest jednak tzw. „pierwsza jaskółka”, choć

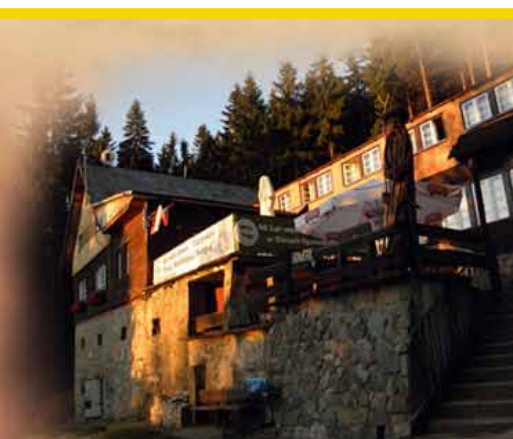


Śmieciowy apel na Łapsowej

jej „loty” zależą głównie od odwiedzających ten obiekt. Oto na dużym koszu na odpadki umieszczono prośbę-apel do turystów, który ma skłonić w/w do zabierania ze sobą tego, co do schroniska przynieśli z dolin. Skoro przyniosłeś, drogi(-a) turysto(-tko), butelkę z napojem ważącą 0,5, 0,75 lub 1 kg, to równie dobrze możesz znieść pustą, ważącą kilka dag w dolinę i tam się jej pozbyć. No tak, ale komu by się chciało? A przecież to takie proste: wystarczy odkręcić nakrętkę, zgnieść butelkę, nakręcić nakrętkę z powrotem, by nie wylała się jakaś resztką płynu do plecaka i to wszystko. Niestety, z tego co widziałem tego lata i jesieni w wielu schroniskach, ogromna większość odwiedzających wrzuca wszystko do ogólnych koszy, nawet nie zgniatając pustych opakowań. Ludzie robią dokładnie to, co w miejscach zamieszkania, a co widzimy na przepełnionych osiedlowych śmietnikach. Kto wie, może gdy minie nasze wygodnickie pokolenie, a bezmyślne pozbywanie się odpadków będzie piętnowane społecznie, a nawet karane (są kraje, gdzie tak się dzieje), także z gór i schronisk znikną owe „nadwyżki” śmieci. Tego nie wiem, wiem natomiast, że gospodarze schronisk starają się, by do tego doprowadzić, a apel ze schroniska na Łapsowej niech będzie dobrym przykładem dla innych.

Juliusz Wyslouch

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Na Mogielicę i Łopień w jesiennych barwach

Chyba dawno nie było niczego w „Na Szlaku”, co dotyczyłoby Beskidu Wyspowego, zatem najwyższy czas, by przypomnieć Czytelnikom, że są takie góry. Oglądane z wysoka przypominają archipelag wysp, zwłaszcza gdy doliny zakryje mgła. Ponad tą mgłą lub „morzem chmur” sterczą samotne wyspy – pojedyncze góry. Choć niewysokie, to robią duże wrażenie. Zapraszam zatem do odwiedzenia Beskidu Wyspowego, a konkretnie **Mogielicy (1171 m n.p.m.) i Łopienia (961 m n.p.m.)**. Te dwie góry sąsiadują ze sobą przez Przełęcz Rydza Śmigłego (Chyszówki 700 m n.p.m.).

Mogielica to najwyższy szczyt Beskidu Wyspowego, a łopień, choć niższy o 210 m, z dolin wygląda równie imponująco. Wypad na obie te góry w ramach jednej wycieczki wydaje się czymś naturalnym, zwłaszcza gdy bazą jest kwatera w Jurkowie (530 m n.p.m.) lub Chyszówkach. Można się tam „zahaczyć” w jednym z kilku gospodarstw agroturystycznych na dwa, trzy dni i pochodzić po okolicy. W Jurkowie turysta znajdzie wszystko, co potrzebne podczas dłuższego pobytu lub wielodniowej wędrowki. Sklepy, gastronomię, bankomat i kościół, czyli coś dla ciała i ducha.

Wycieczkę zaczynamy w Jurkowie na drodze Jurków – Chyszówki (Przełęcz Rydza Śmigłego) zaraz za mostem na Łososinie, gdzie niebieski szlak schodzi z drogi w kierunku południowym. Po 50 m mijamy karczmę „Baranówka” (polecam), wkrótce szlak opuszcza asfaltową uliczkę i wchodzi na drogę gruntową. Zmienia



Ćwilin i Śnieżnica ze szlaku Jurków – Mogielica



Babia Góra, Luboń Wielki i Szczebel z Polany Kozice

także kierunek na wschodni. Zanim droga, a potem ścieżka zagłębi się w las, towarzyszą nam widoki na Łopień i Ćwilin (1072 m n.p.m.), i Śnieżnicę (1007 m n.p.m.). Różnica wysokości między Jurkowie a sąsiadującymi szczytami wynosi około 500 m, więc wrażenie wyniosłości gór nad doliną jest naprawdę spore.

Wkrótce szlak opuszcza odkryty teren i wchodzi na długi zalesiony grzbiet doprowadzający pod kopułę szczytową Mogielicy. Po drodze kilka zakosów, ale ogólny kierunek to

południowy wschód. Zdobywamy wysokość podchodząc łagodnie, docieramy do widokowego miejsca – polany Kozice i pasterskiej osady Cyrła. Wspaniały widok na zachodnią część Beskidu Wyspowego, z Luboniem w głównej roli i Babią Górą zamykającą panoramę. Idąc dalej przecinamy dobrze utrzymaną stokówkę, skąd mamy spory kawałek stromego podejścia. Później znowu długi relaksowy odcinek grzbietem, po czym zwrot w prawo ku południowi. Następuje trawers u podnóża kopuły szczytowej Mogielicy. Po lewej stronie pojawia się prze-

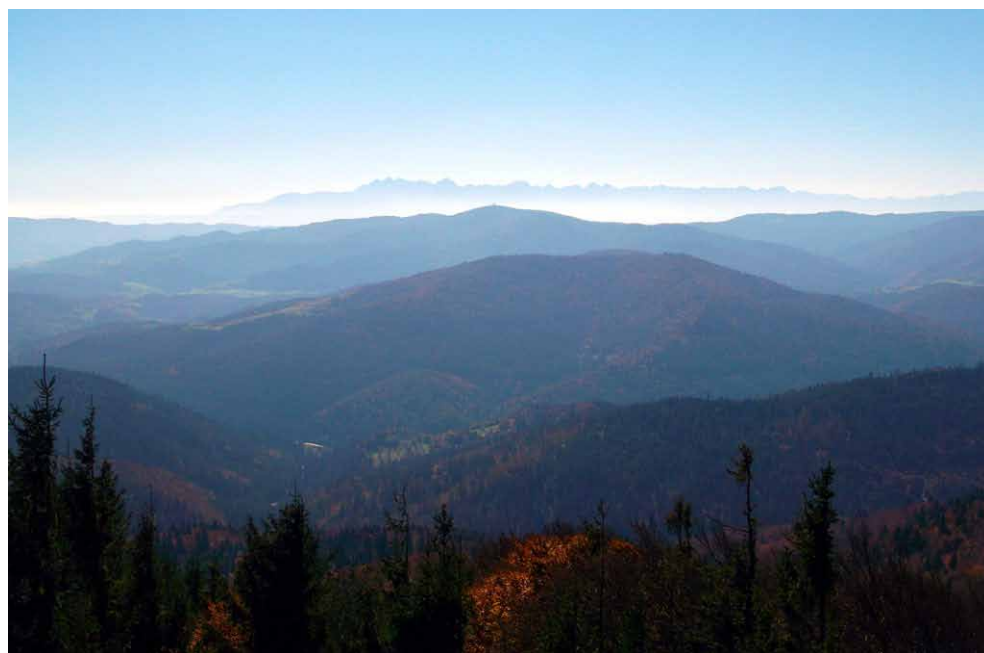


Beskid Wyspowy z Mogielicy

świt z widoczną wysoko polaną (hałą). Można nim podejść na tę polanę i iść z niej dalej na wierzchołek. Szlak niebieski wiedzie dalej trawersem, który opuszcza zwrotem w lewo na strome zbocze. Podchodzimy wąską kamienistą percią w linii spadku zbocza. Ścieżka doprowadza do grzbietu, gdzie spotykamy zielony szlak Przełęcz Rydza Śmigłego – Mogielica. Stąd w prawo zielonym szlakiem na zalesiony wierzchołek z wysoką drewnianą wieżą widokową. Stajemy na szczycie po pokonaniu ok 640 m przewyższenia.

Nie jestem fanem stawiania na szczytach rozmaitych budowli, jednak przyznaję, że widok z wieży jest „obłędny”. Dookolna panorama obejmuje Beskid Sądecki, Wyspowy, Pieniny, Gorce, Tatry, Niżne Tatry, Wielki Chocz, Małą Fatrę, Beskid Żywiecki z Babią Górą i Pilskiem, Beskid Makowski (Średni). Jak na dłoni widać Jurków, skąd przyszlismy i Łopień będący kolejnym celem wycieczki. Zwracam uwagę na informację dla wchodzących na wieżę – jednocześnie mogą przebywać na niej cztery osoby. W praktyce rzeczywiście na pomoście widokowym przebywają te 4 osoby, ale na pośrednich pomostach odczekują na swoją kolej 2, 3. Na wieżę prowadzą bardzo strome schody, a właściwie drabiny, trzeba się wspinać bardzo uważnie.

Gdy już nasycimy się widokami, opuszczamy szczyt i kierujemy się za znakami zielonymi w kierunku Przełęczy Rydza Śmigłego (na północ). Mijamy skalną wychodnię (Zbójnicki Stół) i po krótkim odcinku przez las schodzimy na rozległą hałę – Polanę Wyżnikówka. Jest to popularne miejsce wśród odwiedzających Mogielicę – przy ładnej pogodzie miejsce posiadów i odpoczynku. Zresztą z polany także rozpościerają się sze-



Pasma Lubania i Tatry z Mogielicy

rookie widoki. Patrząc na północ widzimy drugi cel wycieczki – Łopień, poniżej znajduje się zasłonięta przełęcz, którą będziemy przekraczać. Przebiega przez nią szosa Limanowa – Mszana Dolna. Szlak zbiega z polany zmieniając kierunek nieco na wschód; zimą we mgle należy wzmóc uwagę, by nie zapędzić się prosto, co spowoduje konieczność schodzenia „na kreczę”. Gdy szlak opuści polanę, nabiera stromości i następuje długi odcinek dość stromy i kamienisty. W ten sposób wytracamy wysokość, wszak różnica między

szczytem Mogielicy a przełęczą Rydza to 470 m. Kończy się odcinek przez las i wychodzimy na łąki zbiegające ku przełęczy. Mijamy dwa gospodarstwa i drogę podchodzącą z lewej (od zachodu, skrót do szosy na Chyszówce). Szlak wchodzi na krótki odcinek leśny, po czym doprowadza do przełęczy. W pogodne soboty i niedziele roi się tam od samochodów, którymi przybywają weekendowi zdobywcy Mogielicy.

Przekraczamy przełęcz idąc w kierunku Łopienia szeroką gruntową drogą. Opusz-



Łopień

czamy ją w lewo pod górę, szlak wiedzie teraz typowym górskim „holwegiem”. Pojawiają się krótkie kamieniste odcinki, podejście nie jest szczególnie wymagające. W godzinę od przełęczy stajemy na rozległej hali szczytowej Łopienia. Widoki stąd podobne jak z Mogielicy, choć nie tak dalekie. Łopień to ciekawy trzyczchołkowy masyw. Hala, na którą przyszlismy, pokrywa wierzchołek zachodni. Zielony szlak zbiega zeń stromo do Dobrej (na północ, 1 godz.), a czarny do Tymbarku (na wschód, 1,5 godz.). Nasza trasa wykorzysta jednak inny szlak – Papięski, zaznaczony na drzewach literami *JP II*. Schodzi on wprost do Chyszówek, czyli na południe. Idzie się miejscami dość stromo i kamieniste, niżej drogą przez łąki i pola wprost do szosy Przełęcz Rydza Śmigłego – Jurków – Mogielica, co zajmuje 2,5 do 3 godzin. Część Mogielica – Łopień to minimum 2 godziny, a na zejście z Łopienia do Chyszówek potrzeba 45 min. Należy zatem przyjąć nie mniej niż ok. 7 godzin bez odpoczynków. Trasę polecam szczególnie jesienią, gdy góry nabierają kolorów. Przydatna mapa: „Beskid Wyspowy 1: 65 000”, wyd. ExpressMap Polska.

Juliusz Wyslouch

XIX Spotkanie Śladowe Jaworki 2019

Kolejne, **XIX Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”** odbędzie się w **Jaworkach, od czwartku 28 lutego do niedzieli 3 marca 2019 roku**. Spotkanie zostało wpisane do kalendarza wydarzeń narciarskich KTN ZG PTTK (link poniżej). Bazą będzie gościnny obiekt państwa Waligórow przy ul. Czarna Woda 53, znany już uczestnikom Spotkania w roku 2013. Gospodarze zmodernizowali budynek i obejście. Uczestnicy będą mieli do dyspozycji 30 miejsc w pokojach 2-, 3-, 4- i 6-osobowych z łazienkami. Na każdym piętrze znajduje się aneks kuchenny. Noclegi w cenie 35 zł (sezon zimowy) + 2 zł opłaty klimatycznej. Jest możliwość zamówienia śniadań (9 zł) i obiadokolacji (18 zł), jak poprzednio. Wstępna rezerwacja noclegów dla 30 uczestników została już dokonana. W pobliżu znajduje się ośrodek narciarski z wyciągami, ale przede wszystkim fantastyczne tereny dla turystyki narciarskiej – łagodne, bezleśne zbocza Małych Pienin, drogi w dolinach i wygodne stokówki w Masywie Radziejowej w Beskidzie Sądeckim. **Głównym punktem programu będzie sobotni wypad na Przehybę. Ze schroniska zjazd do Szczawnicy i powrót bussem do Jaworek.** Miejsce Spotkania wybrano ze względu na łatwy dostęp. Jaworki mają dogodny dojazd autobusowy z Nowego Targu przez Szczawnicę, na przybyłych samochodami czeka bezpłatny parking w obejściu.

Zgłoszenia przyjmuje organizator: Juliusz Wyslouch, tel. kom. 517-222-664 lub julo.tela@pro.onet.pl – **do 15 stycznia**, im szybciej, tym lepiej. Przypominam, że Spotkanie ma charakter towarzysko-turystyczny i każdy bierze udział na własną odpowiedzialność. Link do kalendarza imprez narciarskich awizowanych przez KTG ZG PTTK: <http://www.zima.pttk.pl/index.php/zima/strony/ktn-imprezy>

Pierwsza ofiara zimy w Tatrach

Na Przełęczy Waga znaleziono turystę z Polski bez funkcji życiowych. Oto komunikat: *V obedňajších hodinách dňa 26.10.2018 oznámil náhodný turista záchranárom Horskej záchrannej služby, že v sedle Váha našiel turistu, ktorý nemal prítomné životné funkcie. (...) kde sa nachádzalo zmrznuté telo 31-ročného Poliak. Poveternostné podmienky pre silný nárazový vietor, ktorý vo vyšších polohách prevládal, nedovolili letecký transport telesných pozostatkov. Dvojica záchranárov po nabalení tela zostala na Chate pod Rysmi a v ranných hodinách dňa 27.10.2018 začali s jeho transportom. Z doliny im išli oproti ďalší jedenásti záchranári HZS na pomoc. Vo vysokohorskom prostredí prevládajú zimné podmienky a miestami je viac ako 30 cm snehu, čomu je pri plánovaní túr potrebné prispôbiť oblečenie a vybavenie.* Źródło: Horska Zahranná Služba.

Choć to jesień, w góry zawitała zima. Z krótkimi przerwami, ale pogoda i warunki terenowe od połowy października bardziej przypominały zimowe, szczególnie wysoko w Tatrach. A pomyśleć, że od 10 do 20 października niebo było niemal bezchmurne i słońce przygrzewało tak, że w Beskidach turyści w ciągu dnia chodzili „na krótko” – w krótkich spodniach, w samych koszulkach. W następnym tygodniu nawet dużo niżej, bo od wysokości 1100–1200 m w wielu miejscach przez niemal cały tydzień od 21 do 28 października utrzymywał się śnieg na Babiej, Pilsku i Turbaczu, zabieliła się Jaworzyna Krynicka i Śnieżka. Temperatura spadała nawet w dzień do –5 st. C. Końcówka października i początek listopada przyniosły raptowny powrót „złotej jesieni”. Temperatury sięgające w Beskidach 15 stopni i słoneczną pogodę zapowiadały wszelkie prognozy na całą pierwszą dekadę listopada. Jak było? Od połowy listopada temperatura znacznie się obniżyła, wrócił niewielki mróz, w górach pojawił się śnieg.

Dlaczego „pierwsza ofiara zimy”? Przecież i latem nie brakowało wysoko w górach wypadków na śniegu, były to jednak poślizgnięcia na płatach starego śniegu z poprzedniej zimy. Turysta z Przełęczy Waga prawdopodobnie zmarł z wychłodzenia. Nie było jakiegoś wielkiego mrozu, raptem minus 4–6 stopni, ale i to wystarczyło. Za dnia w górach, nawet wysoko, było dość ciepło, choć warunki już zimowe. Na zdjęciach z akcji znoszenia zwłok widać to dokładnie. Być może ubiór turysty wystarczył na dzienne temperatury, ale na przetrwanie w nocy już nie. Góry z daleka często wyglądają niewinnie. Ot, jakieś pasemka śniegu gdzieś wysoko. To tylko pozory. W rzeczywistości na wysokościach już około 2000 m nawet na przedzimiu panują warunki i temperatury zimowe. Bardzo często turyści nie są odpowiednio przygotowani do długotrwałego przebywania w takich warunkach. Dopóki słońce świeci i grzeje, wszystko w porządku. Wielogodzinny marsz rozgrzewa, ma się wrażenie ciepła, komfortu, bezpieczeństwa. Jest tak dopóty, dopóki są siły. Gdy długa wędrówka siły wyczerpie, zajdzie słońce i nagle spadnie temperatura, sytuacja turysty pogarsza się raptownie i radykalnie. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy. Kto bywał w górach jesienią, powinien przypomnieć sobie krótkie wypadki ze schroniska na zachód słońca. Są takie schroniska, gdzie wystarczy wyjść przed drzwi lub pójść na krótki spacer, by ogarnąć wzrokiem dalekie widoki z gasnącym słońcem w głównej roli. Wystarczy kilka, kilkanaście minut, by zrobiło się zimno, gdy słońce schowa się za górami. Jest tak na wysokościach niewiele ponad 1000 m, a co dopiero na 2000.

Podstawową rolę dla bezpieczeństwa turysty zimą, poza rozważą, doświadczeniem i umiejętnością poruszania się w trudnym terenie, gra odpowiedni ubiór, a raczej sposób ubierania się na wyjście w góry. Trzeba porzucić miejskie przyzwyczajenia. Zaczniemy od butów. To temat tak oklepany, że aż wstyd wspominać. Przeważa obuwie tzw. całoroczne, ja sugeruję użycie zimą innych butów, zwłaszcza w wyższych górach. Powinny to być klasyczne buty ze skóry licowanej i lakierowanej, o jeden numer większe niż używane w innych porach roku. Większy but można dodatkowo zaizolować wkładką, można też założyć inny zestaw skarpet niż latem czy jesienią. Powinno się używać dwóch par skarpet, ale tak, aby stopa nie była ściśnięta. Krew powinna swobodnie krążyć, ciasnota w bucie szybko doprowadza do wychłodzenia stopy, a przeoczenie tego zjawiska – do odmrożenia, w pierwszej kolejności palców. Pamiętajmy, że gdy pocujemy nieznośny chłód i marznięcie stóp, należy rozluźnić nieco wiązanie (sznurowadła), by krew mogła swobodnie krążyć. Oczywiście nie może być zbyt luźno, trzeba odpowiednio regulować wiązanie – tak, by w palcach było znacznie luźniej, a staw

skokowy (kostka) był dobrze trzymany przez cholewkę. Ponadto buty trzeba utrzymywać w dobrym stanie, nie żałować dobrej pasty (najlepiej na lano-linie), można zrobić sobie mieszankę pasty z wazeliną.

Wychodząc w góry nie zakładamy na siebie *wszystkiego, com ta miol*. Wiadomo, że przez pierwsze kilkanaście minut po wyjściu z ciepłego schroniska odczuwamy chłód, dopiero po chwili ruch przywraca ciepło. Lepiej przeczekać ten moment chłodu, niż później zatrzymywać się i rozbierać. Taki chwi-



Zimą w grupie bezpieczniej

lowy postój przyniesie spore straty ciepła, które zniweluje dopiero kolejne kilkanaście minut marszu, zanim odbudujemy komfort cieplny. Gdy nie ma wiatru, zewnętrznym okryciem może być gruby polar założony na dwie, trzy warstwy – np. bielizna termoaktywna + cieńszy polar. Wiele zależy od temperatury „wyjściowej”. Na pewno trzeba mieć w plecaku (jeśli nie ma potrzeby zakładania go na wyjściu) anorak, dodatkowy polar, a także zapasowy komplet przeciwwiatrowy – spodnie i kurtkę. To może być nawet jednowarstwowy komplet z ortalionu (starsi wiedzą, co to jest) lub poliamidu, byle nie przepuszczał wiatru. Niezbędne są dwie pary rękawiczek, w przypadku silnego mrozu dodatkowo tzw. łapawice – membranowe lub ocieplane. Nie są tanie, ale warto każdej cenie. Użycie takowych „przerabiałem” ubiegłej zimy w Gorcach, gdy wychodziłem z Rabki przy minus 16 stopniach. Są one doskonałym zabezpieczeniem dłoni, zwłaszcza gdy coś się niesie (np. narty). Wiadomo, że krew lepiej przepływa przez swobodną dłoń niż przez trzymającą jakiś przedmiot. Łapawice zakładamy na zwykłe rękawiczki, w skrajnych przypadkach polecam użycie dwóch par. Łapawice powinny być tak duże, by można je było swobodnie założyć właśnie na dwie pary innych rękawiczek. Polecam użycie chusty buff, kominiarki i polarowej czapki. Przy silnym mrozie i wietrze taki zestaw użyty w całości + kaptur anoraka powinien zabezpieczyć głowę przed wychłodzeniem. Zima ma to do siebie, że nie można przewidzieć wszystkiego, każdej sytuacji zagrażającej zdrowiu lub życiu. Mróz i wiatr to największy przeciwnicy turysty, ale przed nimi umiemy się zabezpieczyć, są to zagrożenia, które możemy zminimalizować przygotowując się odpowiednio do wyjścia w góry. W wyższych górach są jednak takie, których przewidzieć się nie da, najwyżej można ich uniknąć wybierając odpowiednią trasę lub rezygnując z jakiegoś przejścia. Są to lawiny. Nie lekceważmy ostrzeżeń GOPR i TOPR, to nie są czyjeś wymysły, tylko informacje wynikające z rozpoznania sytuacji: stanu pokrywy śnieżnej, jej składu, wpływu wiatru na zagrożenie, zmian temperatury powietrza itp. Czytajmy prognozy pogody, wszak chyba każdy ma ją w swoim telefonie. Góry zimą to całkiem coś innego niż latem, do tego stopnia, że miejsca znane z letnich wędrówek wyglądają całkowicie inaczej, a we mgle, zadymce są nie do rozpoznania.

Na koniec apel. Ludzieeee! Nie wychodźcie w góry bez sprawnej latarki i bez mapy, zwykłej papierowej (laminowanej) mapy. Żaden elektroniczny gadżet nie daje 100% pewności, że zadziała, zwłaszcza w niskich temperaturach. Do mapy można zajrzeć w każdych warunkach. Czytajcie przewodniki, prześledźcie trasę wycieczki na mapie PRZED WYJŚCIEM, zapoznajcie się z opisem szlaku, weźcie pod uwagę REALNY czas przejścia. Tu uwaga. Zimą czas przejścia KAŻDEGO odcinka szlaku jest dwukrotnie (co najmniej) dłuższy, w zależności od warunków, niż latem. Nieco inaczej wygląda przemierzanie gór na nartach śladowych lub tourowych, narty dają szansę pokonania szlaku w czasie letnim, a nawet krótszym (dzięki zjazdowi), choć dochodzi element ryzyka kontuzji – niestety, narty mają to do siebie, że chwila nieuwagi może gwałtownie przerwać wycieczkę i to z przykrym skutkiem.

Dość straszenia. Życzę wszystkim turystom, tym „na butach”, na nartach i na raketach śnieżnych, tylu samo powrotów, co wyjść w góry, wspaniałych widoków, wschodów i zachodów słońca, schroniskowych spotkań przy kominku i innych miłych doznań.

Juliusz Wysłouch

10. Kolej w góry

Punktualnie o 9:00 rano pociąg Kolei Dolnośląskich dowiózł nas do Świebodzic, skąd rozpoczęła się nasza wycieczka.

W słoneczny poranek ruszyliśmy czarnym szlakiem w kierunku centrum. Na chwilę go opuściliśmy, aby zobaczyć XIX-wieczny, zbudowany w stylu renesansu angielskiego, pałac Sedlów. Po chwili weszliśmy na czerwony szlak, który wprowadził nas do Książańskiego Parku Krajobrazowego. Po około godzinie marszu od stacji dotarliśmy do Państwowego Stada Ogierów Książ. Na hipodromie mogliśmy podziwiać zawody w powożeniu, a w stajniach pogłaszać żrebaczki. Duże wrażenie wywarła na nas kryta ujeżdżalnia, a zwłaszcza drewniana konstrukcja jej dachu. Stadnina ogierów rasy śląskiej powstała w 1947 roku na bazie XVIII-wiecznych zabudowań folwarku Hochbergów.

Kolejnym przystankiem na trasie był zamek Książ. Słoneczna pogoda zachęcała do spacerów na tarasach lub (i) do filiżanki kawy na świeżym powietrzu.

Czerwoną ścieżką dydaktyczną wiodącą w dół dotarliśmy do cisu „Bolko”. Jest to jeden z 17 pomników przyrody znajdujących się na terenie Książańskiego Parku Krajobrazowego.

Dalej ścieżka prowadziła przez mostek na Pelcznicy; po chwili spaceru ulicami powróciliśmy do parku po zachodniej stronie Szczawnika. Na tym obszarze oba potoki, Pelcznica i Szczawnik, znajdują się w granicach rezerwatu Przełomy pod Książem koło Wałbrzycha. Szczawnik pokonaliśmy po pniu zwalonego drzewa i po krótkiej ale intensywnej wspinaczce weszliśmy na Skibę – najwyższe (433 m) wzniesienie Książańskiego Parku Krajobrazowego, skąd mogliśmy znów obejrzeć zamek Książ. Czerwona ścieżka dydaktyczna poprowadziła nas do ruin Starego Książa. Poniżej ruin kolejny punkt widokowy na zamek. W czasie tej wycieczki mogliśmy obejrzeć książański zamek niemal z każdej strony.

Żegnamy ruiny Starego Książa i zielonym szlakiem kierujemy się do najstarszej w Polsce palmiarni. Stąd ulica Wrocławska doprowadza nas niemal pod stację kolejową Wałbrzych-Szczawienko. Ale mamy jeszcze czas, aby uzupełnić kalorie i płyny w „Pierogowej Chacie”. W komplecie wsiadamy do pociągu i po godzinie jazdy Kolej Dolnośląska dowozi nas na dworzec Wrocław Główny.

W wycieczce wzięły udział 24 osoby (wraz z prowadzącym).

Jan Kozdrowski



42. wycieczka Rajdu na Raty – w setną rocznicę odzyskania niepodległości

11 listopada 2018 roku, w setną rocznicę odzyskania niepodległości, Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów do uczczenia tej rocznicy podczas kolejnej, już 42. w tym roku, wycieczki Rajdu na Raty. Tym razem przybyłych do Janowic Wielkich powitał przewodnik sudecki Jarosław Kapczyński. Na początek turyści mogli porównać dwa stare kościołki – gotycki pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i poewangelicki Chrystusa Króla oraz, dodatkowo, piękny zespół pałacowy z XVII wieku.

Najważniejszym jednak punktem programu był przemarsz przez Janowice z flagami i śpiewem na ustach. Wycieczkowicze odśpiewali także hymn państwowy.

Podbudowani świąteczną atmosferą rajdu wyruszyli na wzgórze o nazwie Różanka położone w Górach Ołowianych. To właśnie na nim znajdowało się kiedyś niewielkie schronisko, gdzie można było posilić się oglądając piękny krajobraz. Niestety, dzisiaj nie ma tutaj już ani schroniska, ani pięknego krajobrazu. Z obiektu pozostały tylko resztki fundamentów, a widoki zostały zasłonięte drzewami, które do tej pory zdążyły tu wyrosnąć.

W Radomierzu obejrzeli kościół Matki Boskiej Różańcowej z ciekawymi organami, a następnie dotarli do miejsca, gdzie znajdował się kolejny kościół. Niestety, pozostała z niego już tylko niewielka część, którą zaadaptowano na wieżę widokową. W przyziemi znajduje się punkt informacji turystycznej.

Końcowy odcinek wycieczki prowadził drogą w stronę Komarna. To właśnie na nią został jakiś czas temu przeniesiony niebieski szlak turystyczny wiodący wcześniej polami w stronę Skopca. Był on tak nieczytelny w terenie, że prawie każdy się tam gubił. Teraz nie ma już tego problemu.

W końcu wszyscy dotarli do szałas myśliwskiego znajdującego się nad Komarnem. Miejsce to nie tylko nastraja do odpoczynku – rozpościerają się z niego cudowne widoki. Nic dziwnego, że często zeń korzystamy, by rozpalic ognisko, upiec kielbaski i posiedzieć chwilę w miłym towarzystwie. Tak też było i tym razem. Zjedliśmy przyniesione ze sobą wiktuały. Niestety, tym razem nie mogliśmy zabawić zbyt długo, gdyż wkrótce zaczęli się zjeżdżać myśliwi, którzy akurat ukończyli polowanie i chcieli tutaj świętować Hubertusa.

Ostatni etap wycieczki prowadził przez Komarno do Maciejowej. W pierwszej miejscowości znajdują się dwa zabytkowe kościoły – gotycki pw. św. Jana Chrzciciela i barokowo-klasycystyczny, obecnie nieużywany. Stoją tam także dwa krzyże pokutne, z którymi związany jest pewien ciekawy przekaz.





W Maciejowej zainteresowanie wzbudza barokowy kościół św. św. Piotra i Pawła. Jednak nie chodzi tutaj o jego architekturę, lecz o dramat, który rozegrał się w zeszłym stuleciu. Otóż niezrównoważony mężczyzna zamordował siekierą odprawiającego mszę kapłana.

Trzeba przyznać, że pogoda sprzyjała uczestnikom wybieczki przez cały dzień. Było ciepło i słonecznie.

Krzysztof Tęcza

Forum Publicystów Krajoznawczych na Ziemi Jeleniogórskiej 2018

W dniach 13–16.09.2018 r. na zlecenie Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych zorganizowałem tzw. „międzyforum” na Ziemi Jeleniogórskiej. Chodziło o to, by ludziom zajmującym się krajoznawstwem pokazać nasz region. Fora krajoznawcze odbywają się od prawie 40 lat, jednak zawsze miały miejsce w Wielkopolsce. Tym razem chodziło o pokazanie czegoś nowego, ciekawego i zupełnie odmiennego niż to, do czego przyzwyczaili się uczestnicy takich spotkań.

Ponieważ Ziemia Jeleniogórska jest bogata, jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju zabytki, czy to architektoniczne, czy to przyrodnicze, a także ma bardzo urozmaiconą i niezwykle ciekawą historię, postanowiłem podjąć wyzwanie organizacji kolejnego spotkania właśnie u nas.

Pierwszego dnia, czyli w czwartek 13 września 2018 roku, pokazałem gościom Jelenią Górę i Bukowiec. Jelenia Góra to przecież miasto, o którym pisze się już od roku 1108. Ma więc ponad dziewięćset lat. W tym czasie miało tutaj miejsce wiele doniosłych wydarzeń historycznych. Ale nie tylko. Niestety, w ciągu zaledwie kilku godzin nie sposób przedstawić całej historii miasta, dlatego postanowiłem zaprosić wszystkich na bardzo krótki spacer trasą od dworca do Ratusza i z powrotem. Jak wiadomo, doprowadzenie linii kolejowej do danej miejscowości zawsze przynosiło jej okres rozkwitu. Wiązało się to zarówno z możliwością przemieszczania się ludzi, jak i przewożenia towaru. Można zatem było budować wielkie zakłady przemysłowe mając pewność, że ich produkcja w miarę szybko dotrze w inne części Europy. Jelenia Góra, tak jak większość miast na Śląsku, bazowała na produkcji płócien. Kupcy zrzeszeni w cechu opanowali ten rodzaj produkcji oraz handlu do perfekcji. W krótkim czasie doprowadziło to do powstawania przedstawicielstw handlowych nie tylko w różnych częściach Europy, ale także na kontynencie amerykańskim. Kupcy jeleniogórscy dysponowali nawet swoją prywatną flotą. Zapewniało to nie tylko konkurencyjność na rynku, ale również pozwalało na przywożenie w drodze powrotnej nowinek, np. kawy czy tytoniu.

Zatem Jelenia Góra wciąż się rozwijała. Niestety, niebawem nastały czasy wojen religijnych, które skutecznie zablokowały dalszy rozwój miasta. Nieco później pojawiły się maszyny tkackie, które spowodowały tak duży spadek cen towarów, że nie opłacało się już kontynuowanie tradycyjnej produkcji. Przystawiono się wówczas na nowe produkty.

Miasto Jelenia Góra, a właściwie jego mieszkańcy byli ludźmi, którzy nie patrzyli tylko na swój zysk. Potrafili przeznaczać spore sumy na działania ku dobru dla ogółu. Kupcy nie szczędzili grosza na potrzeby biedniejszych mieszkańców. Wyrażało się to przede wszystkim w dotowaniu obiektów zajmujących się opieką nad biednymi i chorymi, ale także we wspieraniu finansowym np. budowy kościołów. Niestety, wojny na tle religijnym nie tylko zawsze prowadziły do nieszczęść, ale także przyczyniały się do ograniczenia

możliwości prowadzenia życia duchowego zgodnego z sumieniem poszczególnych mieszkańców. Dlatego też bogaci mieszkańcy miasta nie pożałowali grosza, a byli to jak na tamte czasy kwoty bajorńskie, na budowę nowego kościoła dla ewangelików. Oczywiście król niby godził się na ich prośbę (nie za darmo), ale jego doradcy starali się jak najbardziej uprzykrzyć życie wyznawcom religii niezgodnej z tą uważaną za właściwą. Dlatego, gdy król dał pozwolenie na wybudowanie Kościołów Łaski, a jeden z nich został usytuowany w Jeleniej Górze, w celu wyznaczenia jego lokalizacji ustawiono na murach miejskich armatę, z której wystrzelono kulę. To właśnie tam, gdzie owa kula spadła, zezwolono ewangelikom na postawienie ich wymarzonego kościoła. Wtedy było to całkiem daleko za murami miejskimi, dzisiaj jest w centrum miasta.

Oczywiście wyznawcom innej wiary pozwolono na wybudowanie nowego kościoła z bardzo lichych materiałów, aby zbyt długo nie przetrwał. Na szczęście drewniany kościół postawiono tylko na jakiś czas i zabrano się za budowę świątyni murowanej. Jej pierwowzorem był kościół św. Katarzyny w Sztokholmie. Najpierw jednak architekt – znany w Europie Martin Franz z Tallina – musiał pokazać, co chce wybudować. Dlatego wykonał miniaturę kościoła, a ta, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zachowała się do dnia dzisiejszego. Można ją obejrzeć w Muzeum Karkonoskim. Najważniejszą sprawą przy budowie nowej świątyni było przygotowanie jak największej liczby miejsc siedzących, gdyż uważano, że wierny przychodzący na mszę musi skupić się na modlitwie i dlatego nie powinien stać. W kościele przygotowano ponad 4 tysiące miejsc siedzących, w tym prawie 3 tysiące na trzykondygnacyjnych emporach. Sam kościół został ozdobiony wieloma cennymi dziełami sztuki. Są tu obrazy Michała Willmanna; zamontowano także wspaniałe organy, które posiadają 4 manualy, 64 głosy, 80 rejestrów, 3423 piszczałki. Są tak doskonałe, że w poprzednich latach „pożyczano” stąd piszczałki do reperacji organów w Oliwie. Na szczęście wszystkie zostały zwrócone i dzisiaj możemy podziwiać ich brzmienie podczas organizowanych tu licznych koncertów organowych.

W historii świątyni zapisało się wiele ciekawych wydarzeń, ale jedno z nich jest szczególne. W roku 1745 pastor Adolph Gottlob wygłaszał kazanie. Niestety, nie było mu dane dokończyć. W pewnym momencie rozpętała się burza, w wyniku której piorun uderzył w metalową kopułę i jego energia przeszła poprzez linę, na której był zawieszony baldachim nad amboną. Natężenie prądu było tak duże, że spaliło pastora i poparzyło siedzących w najbliższych ławkach. W wyniku paniki, jaka zapanowała, doszło do stratowania uciekających ze świątyni wiernych. Przez kilka tygodni nikt nie chciał przyjść na nabożeństwo. Aby upamiętnić tak niezwykle wydarzenie wykonano epitafium, które dzisiaj znajduje się na murze przy wejściu do zakrystii.

Wokół przykościelnego cmentarza bogaci kupcy wzniesli 18 kaplic grobowych tak bogato zdobionych, że król, podczas jednej z wizyt w mieście, na prośbę o zaniechanie opłaty kontrybucyjnej miał powiedzieć: *Jeśli stać was na takie pałace, to zapłacicie*. Tak też się stało.

Dodam tylko, że właśnie ta świątynia jest mi bardzo bliska, gdyż tutaj chodziłem na lekcje religii, tutaj przystępowałem do pierwszej komunii i tutaj przyjmowałem sakrament bierzmowania. Uczył nas w tamtych czasach ksiądz proboszcz Rybicki, a następnie ksiądz Wojciech Stańko, który wybudował nowy kościół św. Wojciecha na Zabobrze. To właśnie on oprowadzał nas po pomieszczeniach znajdujących się nad stropem świątyni i pozwalał podziwiać widoki z poszczególnych wież. My natomiast rewanżowaliśmy się pomaganiem przy pracach związanych z budową nowego kościoła.

Kolejną świątynią, którą zwiedziliśmy, była kaplica Najświętszej Marii Panny, a właściwie cerkiew pw. Apostołów Piotra i Pawła. Obiekt ten stał się w pewnym momencie niepotrzebny i został przekazany miastu. Przez długi czas zastanawiano się, co z nim zrobić. Z jednej strony – budowla położona w centrum miasta, z drugiej – nietypowa. W końcu, po kilku latach starań, została przekazana Polskiemu Autokefalicznemu Kościołowi Prawosławnemu. I tak pozostało. Turyści najczęściej ograniczają się do obejrzenia umieszczonych w ścianie dwóch krzyży pokutnych. Warto jednak zajrzeć do środka, by zobaczyć freski wykonane przez Jerzego Nowosielskiego i Adama Stalony-Dobrzańskiego. My mieliśmy to szczęście, że zostaliśmy przyjęci przez proboszcza księdza Sawczuka, który nie tylko przybliżył nam historię obiektu, ale opowiedział o staraniach czynionych w celu przejęcia świątyni i dostosowaniu jej wystroju do aktualnych potrzeb. Wcale nie było to takie łatwe.

W trakcie naszego spaceru wypatrywaliśmy zachowanych jeszcze na poszczególnych fasadach ozdobnych zaczepów, na których były zawieszone linie trakcji tramwajowej. Dzisiaj są to ostatnie pozostałości po kursujących tu tramwajach. No, nie do końca – przy Ratuszu, przy Skałce w Podgórzynie i przy zajezdni autobusowej ustawiono pojedyncze tramwaje. Aczkolwiek ten ostatni jakiś czas temu zniknął.

Ciekawym obiektem, chociaż zupełnie zmienionym i niepełniącym już swojej pierwotnej funkcji, jest budynek jednego z pierwszych kin w Jeleniej Górze. Było to kino „Marysieńka”. Na skrzyżowaniu ulic 1 Maja

i Pocztovej ustawiono piękną rzeźbę „Porwanie Europy”. Niestety, wykonana z blachy, musi co jakiś czas być konserwowana – w przeciwnym razie nie wygląda zbyt ciekawie.

Ulica 1 Maja dawniej była jedną z głównych ulic handlowych miasta. Dlatego niemal każdy znajdujący się tu budynek posiadał na parterze lokale użytkowe, a to wiązało się z koniecznością umieszczania na fasadach stosownych reklam. Dzisiaj nikt by nie pomyślał, ale w czasach wcale nie tak bardzo odległych, skoro ja jeszcze je pamiętam, wieczorami cała ulica mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Było tu tak dużo kolorowych neonów, że wielu ludzi przychodziło na spacer w tej bajecznej scenerii.

Ale nie chodziło tylko o zwykły spacer czy posiedzenie w jednej z cukierni. Znajdowały się tu zakłady rzemieślnicze, w tym wiele fryzjerskich, repasacji pończoch, nabijania wkładów do długopisów czy zegarmistrzowskich. Najbardziej znanym zakładem zegarmistrzowskim był ten z wielkim zegarem zamontowanym na fasadzie budynku. Zegar działa do dziś. Niestety, zegarmistrz Mirosław Skowroński po ponad pół wieku w zawodzie odszedł do lepszego świata. Aby upamiętnić to miejsce odsłonięto stosowną tablicę.

Nieco bliżej znajduje się jeden z piękniejszych budynków – wzniesiony na początku XX wieku dom handlowy. Swoją funkcję pełni do tej pory. Na jego fasadzie jest przedstawiony okręt. Przy tej samej ulicy zachował się hotel Europa będący przed wojną wizytówką miasta. Zajmuje on tak rozległy teren i skrywa tak wiele tajemnic, że chyba nie ma jednego człowieka, który wiedziałby na jego temat wszystko.

Przy ulicy Konopnickiej poprosiłem spacerujących o próbę odnalezienia ciekawego obiektu wmontowanego w ścianę kaplicy św. Anny. Muszę przyznać, że bez stosownego naprowadzenia nie do końca im się to udało. Chodziło oczywiście o najmniejszy w mieście krzyż pokutny. Ciekawym obiektem jest tutaj Brama Wojanowska, która po wielu latach „zesłania” na teren „Mechanicznika”, powróciła na swoje miejsce. To właśnie stąd wystrzałem z armaty wyznaczono miejsce na budowę Kościoła Łaski.

Ulica Konopnickiej zasługuje na odrębne zwiedzanie – tak dużo znajduje się przy niej ciekawych obiektów. Niestety, my nie dysponowaliśmy czasem, by przedstawić wszystko, dlatego przeszliśmy na Rynek, by chociaż rzucić okiem na zabudowę placu oraz zobaczyć Ratusz i połączone z nim łącznikiem „Siedem domów”. Przy okazji opowiadania historii Ratusza nie omieszkalem wspomnieć o jednym ze słynniejszych mieszkańców naszej ziemi – Hansie Rischmannie, znanym także jako latający prorok. Wszak to on przepowiedział pożar Jeleniej Góry, zawalenie się Ratusza i wiele innych nieszczęść, jakie spotkały miasto w przeszłości. Następnie obejrzeliśmy kościół św. św. Erazma i Pankracego będący najstarszą świątynią w naszym mieście.

Jedną z mniej znanych spraw w tym rejonie jest istnienie niegdyś synagogi. Została ona rozebrana ze względu na „zły stan techniczny” obiektu. Zresztą cmentarze żydowskie przy ulicach Studenckiej i Sudeckiej także zostały zlikwidowane. Na tym ostatnim znajdowała się spora kaplica zbudowana z klinkieru. Cegły z rozebranego obiektu posłużyły między innymi do budowy altanek na nowych ogródkach działkowych.

Idąc wąskim przejściem z Placu Kościelnego do ulicy Konopnickiej pokazałem niewielką niszę w budynku dawnego sklepu rybnego „Karaś”. Chciałem sprawdzić, czy znajdzie się chociaż jedna osoba, która skojarzy, do czego służyła owa nisza. Niestety, nikt nie odgadł tej zagadki. A sprawa jest bardzo prosta, przynajmniej dla mnie. Sam bowiem często piłem tutaj wodę sodową z sokiem, podawaną w szklance, nalewaną prosto z saturatora. Dzisiaj to nie do pomyślenia. Żaden sanepid by się na to nie zgodził. Owa wnęką była miejscem, w którym stała butla z gazem.

Ponieważ chcieliśmy dotrzeć na kwaterę o przyzwoitym czasie, udaliśmy się w drogę do Bukowca. Po drodze przekazałem najistotniejsze fakty z historii tych ziem, dzięki czemu po przybyciu do siedziby Związku



Gmin Karkonoskich mogliśmy od razu wyruszyć na spacer po pięknym założeniu romantycznym – dziele ogrodnika Waltera, zatrudnionego przez hrabiego Redena.

Oczywiście nie mogłem nie zaprezentować pałacu, nie opowiedzieć o Redenach oraz o tym, czego tutaj dokonali i nie pokazać, jak my dzisiaj korzystamy z ich dziedzictwa. Najważniejszy jednak punkt programu, z racji tego kim byli nasi goście, stanowiła wizyta w Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy. Pokazałem zarówno księgozbiór, jak i warunki stworzone przez Związek dla Pracowni, by ta w jak największym zakresie mogła wykonywać działania dla promocji naszego regionu. Do tej pory Pracownia wydała 20 publikacji oraz zorganizowała dziesiątki seminariów krajoznawczych i spotkań z ciekawymi ludźmi. Ale nie tylko. Stale współpracuje ze wszystkimi jednostkami oraz regionalistami, którzy chcą zrobić coś pożytecznego dla naszych mieszkańców. Każde bowiem takie działanie wzbogaca życie pozwalając uczestniczyć w zajęciach przynoszących wymierne korzyści. Nie zawsze są to korzyści finansowe, chociaż te, przyczyniając się do popularyzacji regionu, sprowadzają w nasze strony turystów, a ci zostawiają „kasę” w postaci opłat związanych z ich pobytem, czyli przynoszą zyski nam wszystkim.

W Pracowni przywitał nas prezes Zarządu Głównego PTTK Jacek Potocki, który udał się z nami na spacer nad Kąpielnik. Dziękuję serdecznie, Jacku, za przybycie do nas.

Wieczorem spotkaliśmy się na zebraniu Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych, podczas którego zostały omówione sprawy bieżące oraz plany na przyszłość. Naszą bazą została „Zielona Gospoda” w Przesiece. Jest to miejsce położone tak urokliwie, że w zasadzie można by tu spędzić pozostałe dni i nikt by nie miał mi tego za złe. Ale ponieważ moim zadaniem było pokazanie innych atrakcji, rano wyruszyliśmy do Krobicy. Tam, dzięki zaangażowaniu pracowników Informacji Turystycznej z Mirska, mogliśmy nie tylko przejść starymi sztolniami, ale także dowiedzieć się, w jaki sposób powstał tak ciekawy produkt turystyczny. Piszę „produkt turystyczny”, bo kopalnia w Krobicy jest nim bez wątpienia. Właśnie mija pięcioletni okres darmowego wstępu i trzeba będzie zastanowić się, w jaki sposób dalej udostępniać to miejsce. Jestem pewien, że jeśli dobrze się to robi, wciąż do kopalni będzie przyjeżdżało mnóstwo turystów.

Kolejnym sztandarowym obiektem był zamek Czocha. Oczywiście nam, ze względu na specyfikę naszej podróży, obiekt ten przedstawiono z zupełnie innej strony. Najpierw w sali konferencyjnej przyjął nas Piotr Kucznir – człowiek niezwykle, miłośnik zamku, a także pasjonat, który każdą wolną chwilę poświęca na tropienie zagadek związanych z okresem II wojny światowej, ale nie tylko. Nic więc dziwnego, że jego wykład spotkał się z wielkim zainteresowaniem ze strony uczestników podróży. Pytań było bez liku, dlatego pozostało nam niewiele czasu, by ruszyć tajnymi przejściami łączącymi prawie wszystkie komnaty znajdujące się na zamku. Chciałbym tutaj podziękować zarówno panu Piotrowi Kucznirowi z jego ekipą, jak i dyrektorowi zamku panu Jarosławowi Kuczyńskiemu, który zaprosił nas na zamek.

Niestety, tego typu objazdy mają to do siebie, że zawsze brakuje czasu na pokazanie wszystkiego, co zostało zaplanowane. Zawsze pojawiają się jakieś nieprzewidziane sytuacje, zawsze zadawanych jest zbyt dużo pytań. Ale nie można przecież przewidzieć, w jakim stopniu dany obiekt zainteresuje przybyłych. Dlatego w drodze powrotnej do bazy trzeba liczyć się z koniecznością opuszczania kolejnych ciekawych miejsc. Tak było i tym razem. Z braku czasu, przejeżdżając przez Gryfów Śląski musiałem ograniczyć się do przekazywania wiadomości o poszczególnych obiektach, pokazując je tylko z okien autobusu. Uznałem jednak, że miasto Gryfów Śląski jest na tyle dobrze skomunikowane, iż każdy chętny będzie w przyszłości mógł, wysłuchawszy moich opowieści, przybyć tutaj sam. Natomiast tama, a przede wszystkim elektrownia Złotniki, którą mogliśmy zwiedzić dzięki uprzejmości firmy Tauron Ekoenergia, są tak ciekawymi – niestety leżącymi na uboczu – obiektami, że nie mogliśmy ich pominąć. Zwłaszcza że wiązało się to z krótkim spacerem, który – jak się okazało – był w tym momencie bardzo potrzebny. Oprócz maszyn produkujących prąd nieprzerwanie od czasu zbudowania elektrowni, mogliśmy dowiedzieć się, w jaki sposób chroni się teren przed powodziami i jak należy budować tamy, by mogły przetrwać takie kataklizmy. Na koniec zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie przy umieszczonym nad tunelem „Lwie czuwającym”. Bardzo możliwe, że wkrótce zdjęcie to będzie już dokumentem, gdyż właśnie trwają rozmowy w sprawie przeniesienia rzeźby na jej pierwotne miejsce usytuowania, czyli na Starościńskie Skały.

Trzeciego dnia podróży postanowiłem pokazać naszym gościom Krzeszów. Co prawda w Polsce znajduje się kilka miejscowości, w których cystersi założyli swoje siedziby, jednak ta w Krzeszowie jest bez wątpienia taką perełką, że nie mogłem pominąć tak wspaniałej budowli. Chcąc poznać jak najwięcej szczegółów z historii naszego terenu oraz budowy opactwa poprosiłem w Punkcie Obsługi Pielgrzyma, by przydzielono nam jakiegoś sprytnego przewodnika. Rafał, młody student historii sztuki, który nas oprowadzał, wykazał się

tak wielką wiedzą, a także rozsądkiem w kwestii stosownego dawkowania wiadomości, że żegnając się część gości poprosiła go o wizytówki, aby skorzystać z jego usług, kiedy przybędą tutaj z grupami turystycznymi.

Krzeszów to, jak już wspomniałem, miejsce niezwykle. Początkowo sprowadzono tu benedyktynów. Ci jednak nie spełnili oczekiwań księcia Bolka I Surowego i ten wykupił ich dobra, tworząc w 1292 roku fundację, którą ofiarował cystersom sprowadzonym z Henrykowa. Nowi lokatorzy zabrali się do pracy przysparzając księciu zarówno dochodów, jak i splendoru. Nie będę tu oczywiście opisywał historii tego miejsca. Z tą każdy może zapoznać się nabywając najnowsze wydawnictwo „Krzeszów. Dom Łaski Maryi”. Autorem tego niezwykle dzieła jest Krystian Michalik, do niedawna przewodnik, zakochany w Krzeszowie do tego stopnia, że miejsce to nie miało przed nim żadnych tajemnic; obecnie brat w Zakonie Cystersów.

Dzisiaj bazylika Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Krzeszowie jest kościołem parafialnym. Z reguły mało kto o tym wie. My akurat byliśmy świadkami dwóch wydarzeń: pierwsze to rzecz codzienna – ceremonia ślubna; drugie nieco rzadsze – dożynki.

Wybierając nową, rozszerzoną, powiedziałbym nawet – bardzo rozszerzoną trasę, mogliśmy podziwiać nie tylko przepiękny wystrój świątyni, ale także zejść do podziemi, by zobaczyć jak w tamtych czasach radzili sobie konstruktorzy projektując takie założenia. Mogliśmy wejść na strop i zobaczyć jak można wykonać więźbę dachu, aby nie docierała ona i tak słabego stropu. Teraz, gdy minęło już trochę czasu, zastanawiam się, czy przypadkiem oprowadzający nas po świątyni specjalnie nie „przechołgał” nas po tych kilkuset schodach, byśmy się nieco zasapali i przestali zadawać „głupie” pytania. Jednak mimo wszystko uważam, że warto było wdrapać się na wieżę kościelną. Widok, jaki stamtąd ujrzelśmy, był wspaniały.

Moich gości zainteresowało Mauzoleum Piastów Śląskich. Rzadko bowiem się zdarza miejsce związane tak bardzo z historią terenu, a także skupiające tak piękne dzieła sztuki. Muszę zdradzić, że mnie osobiście interesowało, czy opowieść o ostatniej kaplicy umieszczonej na dachu, jaką pamiętam sprzed wielu lat, jest prawdziwa, czy też była tylko wytworem wyobraźni przewodnika. Okazało się, że jest to prawda. Otóż kaplica ta została umieszczona w tak niedostępnym miejscu po to, aby zwykły śmiertelnik nie mógł do niej dotrzeć.

Obok bazyliki znajduje się kościół św. Józefa i właściwie to on wzbudza największe zainteresowanie odwiedzających to miejsce. Chodzi o znajdujące się tam obrazy Michała Willmanna. Są to nie tylko wspaniałe dzieła sztuki, ale przede wszystkim dowody na to, jak toczyło się normalne życie w okresie, kiedy Willmann je malował. Nie będę tutaj wnikał w szczegóły, ale ciągle spory pomiędzy mistrzem a jego płatnikiem przyniosły nam wiele pikantnych detali na widzianych obrazach. Warto zatem zwiedzić tę świątynię i wysłuchać opowieści przewodnika.

My mieliśmy jeszcze mały bonus w postaci wizyty w miejscu, w którym wzniesiono piękny pawilon na wodzie. Naprawdę warto poświęcić te pół godzinki, by go zobaczyć.

Tak intensywne zwiedzanie może powalić nawet bawoła, dlatego zrobiliśmy sobie dłuższą przerwę dla nabrania sił. I cóż się okazało? Ano to, że oferta restauracji zaproponowanej przez Punkt Obsługi Pielgrzyma przebiła dosłownie wszystkie lokale w okolicy. Nie dość, że elegancko podane, to jeszcze bardzo smaczne, no i ceny całkiem rozsądne.

Zachęceni takim obrotem sprawy ruszyliśmy na Skalki Gorzeszowskie. Jest to zgrupowanie skał o niezwykłych kształtach, wznoszących się na zboczu doliny, której dnem płynie potok Jawiszówka. Spacer w tak urokliwym miejscu został przyjęty z radością. Tym bardziej, że na polanie przygotowano specjalne miejsce odpoczynku wyposażone w wiaty i ławeczki. Mogliśmy nawet przyłączyć się do bawiących się już tutaj turystów, którzy zdążyli rozpałić ognisko. Pozwoliło nam to pobudzić wyobraźnię i spróbować wypatrzyć ukryte pomiędzy skałami krasnale.

Zupełnie niedaleko znajduje się ciekawa skała znana jako Diabelska Maczuga.



Według legendy jest to kamień, który zgubił diabeł w drodze do Krzeszowa, gdzie chciał go zrzucić na klasztor. Na skale wykuto napis 1813–1913. Wykonano go w setną rocznicę bitwy narodów pod Lipskiem.

Teraz pozostało nam już tylko dotrzeć do Chełmska Śląskiego, gdzie umówiłem się z Adamem Antasem – człowiekiem tak niezwykłym, że jedni go uwielbiają, a drudzy nienawidzą. Adam zdradził nam tajemnice związane z kościołem św. Józefa. Opowiedział także o historii tej świątyni oraz o dniu dzisiejszym tej dziwnej miejscowości – dawniej mieście, obecnie wsi.



Najlepsze jednak dopiero było przed nami. Adam zaprosił nas do kawiarenki „U Apostoła”, którą prowadzi razem ze swoją żoną Anią. Tam mogliśmy skosztować „Bomby Apostoła” – ciasta tak smacznego, że nawet osoby dbające o swoją linię, mimo że to milion kalorii, zjadły je do końca. Adam przedstawił nam kilka faktów z dziejów miasta, które opisał wierszem. Jego opowieść przyjęta została niezwykle miło, ale i z pewnym zaskoczeniem. Nikt się nie spodziewał, że spotka tutaj takiego człowieka.

Muszę w tym miejscu przyznać się, że wioząc moich gości do Chełmska Śląskiego, wcale nie miałem zamiaru pokazywać im tej miejscowości. Chciałem im pokazać prawdziwy skarb tej ziemi – bo czyż taki popularyzator Chełmska jak Adam Antas nie zasługuje na miano skarbu? Uważam, że tak! I chyba nie myliłem się w swojej ocenie. Zachwyt, z jakim przyjęto opowiadanie Adama, późniejsze pytania i komentarze utwierdziły mnie w mojej ocenie. Muszę powiedzieć, że jestem dumny z faktu, że poznałem kiedyś Adama. Od tamtej pory staram się „wykorzystywać” ową znajomość. Kiedy zatem zależy mi na zaprezentowaniu okolic Chełmska, zawsze przyjeżdżam do Adama. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z brakiem zainteresowania jego opowieściami u uczestników moich wycieczek.

Po powrocie do „Zielonej Gospody”, kiedy już zjedliśmy przygotowany dla nas bardzo smaczny posiłek, spotkała mnie bardzo miła chwila. Otóż moi goście, chcąc podziękować za organizację spotkania podarowali mi niezwykle prezent. Były to wydania publikacji krajoznawczych z lat czterdziestych XX wieku opisujące nasze tereny. Powiem tylko jedno: to prawdziwe rarytasy – na pewno trafią do prowadzonej przeze mnie Regionalnej Pracowni Krajoznawczej.

Ponieważ wszystko co dobre szybko się kończy, nawet nie zauważyliśmy, że to już niedziela – ostatni dzień naszego objazdu po Ziemi Jeleniogórskiej. Długo zastanawiałem się, co pokazać moim gościom na koniec wspólnego zwiedzania. Naprawdę wybór nie był łatwy. W końcu uznałem, że najlepszym obiektem na pożegnanie będzie Muzeum Przyrodnicze. Znajdują się w nim zbiory pochodzące z kolekcji Schaffgotschów, a zachowane freski ukazujące żywot św. Bernarda z Clairvaux pozwoliły nam cofnąć się sporo w czasie. No i zobaczyliśmy jak można wykorzystać najnowsze technologie komputerowe, znajduje się tu bowiem Wirtualne Muzeum Fresków Barokowych na Dolnym Śląsku.

Zdradzę jeszcze jedną tajemnicę. Otóż Muzeum Przyrodnicze wybrałem nie tylko ze względu na wspomniane wyżej walory. Wybrałem je także dlatego, że prowadzący to miejsce Stanisław Firszt obiecał mi, iż przedstawi je osobiście. Nie mogłem takiej okazji nie wykorzystać. Przecież ci, którzy znają Stanisława, wiedzą jakim jest świetnym znawcą naszej historii. Mało tego, wiedzą jakim jest mówcą. Nie mogłem więc odmówić sobie przyjemności posłuchania wykładu Pana Dyrektora. A przy okazji miałem cichą nadzieję, że jego wykład wywoła poruszenie. Tak też się stało. Wszyscy byli zachwyceni opowiadaniem pana Stanisława.

Przyznam ze smutkiem, że ze względu na ograniczony czas – chodziło o godziny odjazdu pociągów – musiałem skracać wystąpienie naszego gospodarza i ciągle prosić go o przechodzenie dalej. Myślę, że „podpadłem” trochę za to przyspieszanie, ale nie było innego wyjścia. Na całe muzeum miałem zaledwie dwie godzinki, a Stanisław powiedział mi, że on, aby przekazać tylko najważniejsze sprawy, potrzebuje czterech godzin. Za taką niedogodność przepraszam moich Gości, jak i Pana Dyrektora.

Myślę, że czterodniowy pobyt publicystów krajoznawczych na naszej ziemi pozwolił na pokazanie im części tego, co u nas się znajduje. Mam nadzieję, że będzie to początkiem kolejnych tutaj wizyt, a także przyczyni się do rozreklamowania piękna tej ziemi w innych regionach Polski.

W związku z faktem, że taki objazd, organizowany bez żadnego wsparcia finansowego z zewnątrz, nie należy do łatwych, chciałbym podziękować wszystkim, którzy nas wsparli: Proboszczowi cerkwi w Jeleń Górze księdzu Bazylemu Sawczukowi, Dyrektorowi zamku Czocha panu Jarosławowi Kuczyńskiemu, Piotrowi Kucznirowi za interesujący wykład, Tauronowi Ekoenergii za umożliwienie zwiedzenia elektrowni Złotniki, Adamowi Antasowi i jego żonie Annie za niezwykle miłe przyjęcie, Stanisławowi Firsztowi za przybliżenie historii naszego regionu oraz mojej żonie Annie za pomoc w pracach organizacyjnych.

Krzysztof Tęcza

Konferencja dotycząca projektu budowy ścieżki rowerowej

16 października 2018 roku w Kruszyńcu koło Bolesławca zorganizowano konferencję poświęconą inauguracji wspólnego projektu pn. „Łużyce – Bory, rowerem przez kulturowe i przyrodnicze tereny pogranicza”. Projekt ten jest współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach programu współpracy INTERREG Polska – Saksonia 2014–2020.

„Łużyce – Bory” to nazwa wspólnego projektu trasy rowerowej prowadzącej od dworca kolejowego w Bolesławcu przez tereny gmin: Bolesławiec, Warta Bolesławiecka, Osiecznica, do zamku w Kliczkowie. Projekt jest realizowany przez Gminę Bolesławiec przy współpracy z gminami Warta Bolesławiecka, Osiecznica, Gmina Miejska Bolesławiec oraz miastem Bernsdorf.

Całkowity koszt projektu to prawie 6,5 mln zł. Dofinansowanie z UE wynosi 85%, czyli prawie 5,5 mln. Nowa trasa to ponad 62 km, na których rowerzyści będą mogli obejrzeć m.in.: 1 zamek, 5 pałaców, 9 kościołów, 7 parków podworskich, zabytkowe domy szachulcowe, ale także odwiedzić Bory Dolnośląskie i poznać obszar Natura 2000. Oczywiście to nie wszystko. Oprócz tego turyści poznają wiele nowo wybudowanych punktów ułatwiających im pokonanie trasy czy przyjemny odpoczynek.

Przybyli do Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu w Kruszyńcu, zanim wysłuchali referatów osób uczestniczących w projekcie, mogli obejrzeć prace wykonane przez dzieci. Pokazały one, jak można się cieszyć na samą wieść o podjęciu prac zmierzających do budowy nowych ścieżek rowerowych. Zobaczymy jakie prace powstaną po zakończeniu tej inwestycji...

Aby zrealizować tak duży projekt, nie wystarczą same chęci. Oczywiście są one bardzo ważne, ale to dopiero początek. Przygotowanie stosownych projektów oraz poczynienie wszystkich uzgodnień wymagało lat wyłożonej pracy. Aby to pokazać podam tylko, że prace nad projektem zaczęto w roku 2011 od dokonania stosownych zmian w studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy. W tym samym roku podpisano umowę partnerską z miastem Bernsdorf w Niemczech.



W roku 2012 zaprezentowano po raz pierwszy koncepcję budowy szlaku rowerowego Kliczków – Grodziec. W kolejnych latach dokonano zmian w planach miejscowych dla wsi Kruszyn i Łaziska oraz przystąpiono do przebudowy drogi wojewódzkiej nr 297 i budowy obwodnicy Bolesławca. Dopiero w roku 2017 możliwe było złożenie wniosku o dofinansowanie realizacji tego projektu. W maju 2018 roku ogłoszono wyniki naboru do programu i zakwalifikowano projekt do dofinansowania.

Obecnie miało miejsce uroczyste podpisanie projektu przez partnerów, co pozwala na szybką realizację tego zamierzenia. A jest to o tyle istotne, że cel projektu stanowi osiągnięcie poprawy atrakcyjności oferty turystycznej na polsko-saksońskim pograniczu.

Jak na razie widać, żadnemu partnerowi projektu nie brakuje zapału do pracy, jest więc szansa na terminową jego realizację. Aby jednak nową trasę rowerową zbudować zgodnie ze sztuką i przepisami prawa, ogłoszono przetarg na opracowanie oznakowania szlaku i jego wykonanie.

Dlatego w spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie”, który to wygrał wspomniany przetarg i będzie wykonawcą nakreślonych w nim prac. Nasze doświadczenie, jak i działalność w ramach turystyki kolarskiej przedstawił Andrzej Mateusiak.

Krzysztof Tęcza



VI konferencja z cyklu „Budowanie w pięknym krajobrazie”

W sobotę 20 października 2018 roku w Bukowcu zorganizowano VI konferencję z cyklu „Budowanie w pięknym krajobrazie”. Spotkanie to wpisuje się w obchody Ogólnopolskiego Dnia Krajobrazu, a przedstawione na nim referaty mieściły się w ogólnym temacie: „Aktualne problemy ochrony i udostępniania zasobów przyrodniczych, kulturowych i krajobrazowych w regionie karkonoskim”.

Organizatorami dyskusji byli: Towarzystwo Urbanistów Polskich Oddział w Jeleniej Górze, Dolnośląski Zespół Parków Krajobrazowych Oddział w Jeleniej Górze oraz Towarzystwo Karkonoskie i Związek Gmin Karkonoskich w Bukowcu. Współpracę przy organizacji podjęły także: Karkonoski Park Narodowy, Instytut Rozwoju Terytorialnego we Wrocławiu, Oddział Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze oraz Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej. Radę programową konferencji tworzyli: mgr inż. arch. Janusz Korzeń (TUP i TK), dr Agnieszka Łętkowska (DZPK JG), prof. zw.

dr hab. inż. arch. Elżbieta Trocka-Leszczynska (WA PWr), dr inż. arch. Jacek Godlewski (TUP), dr inż. Andrzej Raj (KPN i TK) oraz Witold Szczudłowski (ZGK i TK).

W pierwszej części konferencji wygłoszono pięć referatów. Rozpoczął Janusz Korzeń omawiając „Budowanie systemu ochrony krajobrazu przyrodniczego i kulturowego w regionie karkonoskim a planowanie przestrzenne”. Przypomniał, że w latach 80. XX

wieku pojawiła się koncepcja ochrony przyrody i krajobrazu, w ramach której zakładano objęcie ochroną ponad 110 tysięcy ha gruntów na terenie Sudetów Zachodnich. Ideą było, by wszystkie tereny chronione objąć jednolitą formą ochrony, co mogło ułatwić wszelkie działania.

Prowadzone obecnie prace nad nowym planem ochrony wchodzą w fazę dostosowywania go do nowych przepisów ustawy. Wiele lat temu proponowano utworzenie terenów chroniących cenne obszary przyrodnicze zarówno w Górach Izerskich, jak i Kaczawskich. Obecnie może przyszła pora, by ponownie zastanowić się nad tą koncepcją.

Andrzej Raj przedstawił „Zasady ochrony krajobrazu i udostępniania Karkonoskiego Parku Narodowego w jego planie ochrony”. Niestety, plan ochrony KPN na lata 2017–2036 sporządzono jedynie dla terenu parku bez jego otuliny. Zapisy planu dotyczą ochrony ścisłej, czynnej i krajobrazowej. Zostały w nim zidentyfikowane zagrożenia, ale także określone działania, jakie należy podejmować, by realizować założenia planu. Mało tego, ponieważ każde działanie jest ingerencją w przyrodę, co jakiś czas należy sprawdzać, jakie pociąga za sobą skutki – pozytywne czy negatywne. Bardzo duże niebezpieczeństwo niesie ciągły rozwój budownictwa, które często zamyka korytarze ekologiczne doprowadzając do zamykania poszczególnych obszarów przyrodniczych. Może to doprowadzić z czasem do ich degradacji.

Agnieszka Łętkowska podzieliła się „Doświadczeniami z wdrażania planu ochrony Rudawskiego Parku Krajobrazowego”. Rudawski PN to 15700 ha parku oraz 6600 ha otuliny. Rozciąga się on na obszarze powiatów: jaworskiego, jeleniogórskiego i kamiennogórskiego. Tutaj aktualny plan ochrony dotyczy lat 2011–2030. Objęte nim zostały wartości przyrodnicze, historyczne i kulturowe oraz walory krajobrazowe.

Dorota Wojnarowska przedstawiła przygotowany z Zygmuntem Jałą referat pt. „System zielonej infrastruktury nową kanwą rozwoju Karkonoszy i Kotliny Jeleniogórskiej”. W projekcie założono, że zielona infrastruktura to strategicznie zaplanowana sieć obszarów naturalnych i półnaturalnych zarządzana w odpowiedni sposób. Elementami tej infrastruktury są m.in. cenne obszary chronione, takie jak parki narodowe, krajobrazowe czy obszary Natura 2000, ale także ekosystemy i tereny o dużej wartości przyrodniczej. W tych działaniach brana jest pod uwagę również zieleń miejska.

Maciej Zathey omówił „Kierunki ochrony przyrody, zabytków i krajobrazu w Sudetach Zachodnich w nowym



planie województwa dolnośląskiego”. W tej wypowiedzi najważniejsza była informacja, że urzędnicy tworzący plan zagospodarowania województwa potraktowali je jako jeden region o różnych obszarach, który powinien rozwijać się wspólnie, mimo posiadania różnych potencjałów. Bo fakt, że coś jest wspólne wcale nie oznacza, że musi być takie samo. Dlatego wizja zagospodarowania przestrzennego Dolnego Śląska 2030 ma spore szanse zapewnić prawidłowy rozwój naszego terenu.



W drugiej części konferencji wystąpili Wojciech Kapalczyński i Paweł Orłowski, którzy w imieniu Dolnośląskiego Urzędu Ochrony Zabytków opowiedzieli o „Roli służb konserwatorskich w odnowie i pielęgnacji dziedzictwa kulturowego”. Przede wszystkim omówili najnowsze zmiany dotyczące przepisów ochrony zabytków, ukazali zagrożenia, jakie niektóre z tych przepisów niosą dla właścicieli takich obiektów, przybliżyli ważniejsze problemy konserwatorskie pojawiające się w planowaniu przestrzennym.

Jerzy Ładysz przedstawił „Walory krajobrazowe i ich wartości ekonomiczne”. To wystąpienie było niezwykle. Bo jak można i czy w ogóle można wycenić krajobraz? Okazuje się, że można. Na świecie już to robią. Pora zatem, by i u nas podejmować takie wyliczenia. Mogą one bowiem mieć wpływ zarówno na planowanie, jak i na czasy teraźniejsze. Trzeba jednak brać pod uwagę, że nie zawsze takie wyliczenia są zgodne z oczekiwaniami poszczególnych grup zainteresowanych danym obiektem. Najważniejsze, by w ogóle uświadamiać ludziom wartość tych, jak się do tej pory wydawało, niewycenialnych części krajobrazu.

Po wysłuchaniu wszystkich referatów rozpoczęto długą dyskusję. Wnioski z niej na pewno będą brane pod uwagę w dalszych pracach nad ochroną krajobrazu.

Uczestnicy spotkania mieli niebywałą okazję obejrzenia nowej wystawy, przygotowanej przez członków Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego, poświęconej koniom. Zdjęcia wykonane w stadninie w Janowie Podlaskim są tak realistyczne, że aż trudno uwierzyć, by komuś udało się je zrobić bez porozumienia z przedstawianymi obiektami.

Obchody Ogólnopolskiego Dnia Krajobrazu to oczywiście nie tylko konferencja, bo czymże byłaby ona bez udziału w takim święcie młodzieży? Dlatego dzień wcześniej, 19 października 2018 roku, pracownicy Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych oraz Związku Gmin Karkonoskich zorganizowali i przeprowadzili warsztaty i zajęcia edukacyjne dla dzieci. Na zajęcia przybyły dzieci ze szkół podstawowych w Kowarach, Kostrzycy i Mysłakowicach. W sumie były cztery 20-osobowe grupy. Uczniowie mieli wykonać określone zadania, ale także odbyć spacer po parku bukoweckim, by zapoznać się z jego walorami przyrodniczymi i architektonicznymi. Na koniec wszyscy otrzymali upominki, a szkoły stosowne certyfikaty uczestnictwa w zajęciach. Całość zakończono pieczeniem kiełbasek na przygotowanym ognisku.

Krzysztof Tęcza



XIX Ogólnopolski Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK w Karpaczu

W dniach 19–21 października 2018 roku miał miejsce XIX Ogólnopolski Zlot Oddziałów i Kół Środowiskowych PTTK. Organizatorem Zlotu, na zlecenie Komisji Środowiskowej Zarządu Głównego PTTK, był Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Komandorem Zlotu był Krzysztof Tęcza, wicekomandorem Andrzej Mateusiak, a sekretarzem Maria Marcinkiewicz. Wycieczki poprowadzili przewodnicy sudeccy: Olga Danko, Janusz Perz i Mirek Andrzejewski. Swoją obecnością zaszczylił nas Prezes Zarządu Głównego PTTK Jacek Potocki.

Uczestnicy Zlotu mieli okazję poznać wiele atrakcji naszej ziemi, ale także „skosztować” wędrówki w pięknym górskim krajobrazie. Jedna grupa wyruszyła pieszo do Samotni i Strzechy Akademickiej; druga zwiedziła Karpacz, a trzecia udała się do skalnego miasta w Adrspach. To pierwszego dnia. Na drugi dzień, poza spacerem po Karpaczu, organizatorzy zaproponowali wyjazd na wycieczkę autokarową po Kotlinie Jeleniogórskiej. Jej uczestnicy mogli zobaczyć pałace wpisane na prezydencką listę Pomników Historii.

Oczywiście, poza wycieczkami, podczas spotkania przekazano wiele informacji o naszym terenie, znajdujących się tutaj ciekawostkach i obiektach krajoznawczych oraz przedstawiono Oddział PTTK „Sudety Zachodnie”. Nasz Oddział, jeśli chodzi o jego działalność, wyróżnia się w skali kraju, mieliśmy zatem o czym opowiadać, żeby nie powiedzieć – mieliśmy czym się chwalić. Informacje te przekazali podczas prelekcji Andrzej Mateusiak, wiceprezes ZO oraz Krzysztof Tęcza, prezes ZO.

Oddziały i koła środowiskowe PTTK skupiają ludzi w ich środowiskach zamieszkania, zarówno w miastach, jak i na terenach wiejskich. Przez wiele lat koła środowiskowe istniały przy spółdzielniach mieszkaniowych, w zakładach pracy, w wojsku, na uczelniach. Były to jednostki skupiające ludzi zajmujących się ukierunkowywaniem zainteresowań na ważne zagadnienia dotyczące określonego środowiska. Dzisiaj, ze względu na zmianę sposobu życia czy zapatrywania na życie, zadania te nie są już takie sztywne. Poszczególne środowiska upodobiły się bowiem do siebie pod względem stylu życia, w związku z czym mają bardzo dużo wspólnych celów.

W obecnym roku, tak jak i poprzednio, w roku 2012, kiedy byliśmy organizatorem jednego ze zlotów, nasza praca została przyjęta z uznaniem i muszę powiedzieć, że nie tylko nie mieliśmy się czego wstydzić, ale pokazaliśmy, że jako organizacja jesteśmy w stanie przygotować i przeprowadzić tak dużą imprezę. A także, że jesteśmy w stanie, poprzez swoje działania, skutecznie promować Ziemię Jeleniogórską, co przełoży się na kolejne wizyty przybyłych tu organizatorów turystyki z całego kraju.

Krzysztof Tęcza



Złot DTMZ w Byczynie

W dniach 9–11 listopada 2018 roku odbył się kolejny zlot członków Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków. Tym razem wybraliśmy się do Byczyny na Opolszczyźnie. To właśnie tutaj miała miejsce jedna z najważniejszych i najsłynniejszych bitew XVI wieku. Bitwa ta przesądziła o klęsce Maksymiliana Habsburga w wyścigu o polską koronę. Po śmierci Stefana Batorego szlachta podzieliła się na dwa obozy. Pierwszy widział jako króla Zygmunta Wazę, drugi – Maksymiliana Habsburga. Nic dziwnego, że doszło do zbrojnego starcia pomiędzy zwolennikami wspomnianych kandydatów. I tak 24 stycznia 1588 roku właśnie pod Byczyną stoczono bitwę, której wynik zaważył na losach zarówno Polski, jak i Europy.

Bitwa ta opisywana jest jako jedna z najbardziej krwawych w historii. W ciągu niespełna dwóch godzin wojska pod dowództwem hetmana Jana Zamoyskiego nie tylko pokonały wojska habsburskie, ale dokonały rzezi uciekających żołnierzy. Sam Maksymilian zdołał schronić się za mury Byczyny, jednak wkrótce uznał wyższość wojsk polskich. W rezultacie zrzekł się tytułu króla polskiego i przestał ubiegać się o polską koronę. A trzeba wspomnieć, że Byczyna w tamtych czasach była miastem otoczonym solidnymi murami obronnymi, z których większość zachowała się do dnia dzisiejszego.

W związku z przypadającym na 11 listopada 2018 roku 100-leciem odzyskania niepodległości, w Byczynie zorganizowano stosowne obchody, podczas których, poza uroczystą Mszą świętą w intencji Ojczyzny, zorganizowano przejście pod tablicę pamiątkową, gdzie złożono kwiaty i odśpiewano hymn. Następnie wszyscy udali się do kościoła ewangelickiego, w którym odsłonięto replikę obrazu „Jan Zamoyski pod Byczyną”.

Do Byczyny przybyliśmy na zaproszenie mieszkanki miasta Basi Brzezińskiej. Prowadzi tam ona Izbę Pamięci zorganizowaną w Ratuszu. Co prawda Izba znajduje się na poddaszu, ale można wejść jeszcze wyżej na wieżę, gdzie urządzono punkt widokowy, z którego rozpościera się wspaniała panorama na miasto i okolice.

Aby doświadczyć warunków bytowych obowiązujących w średniowieczu, na bazę obraliśmy Gród Rycerski w Biskupicach pod Byczyną. Jest to warownia zbudowana z drewna, otoczona fosą, której strażę załoga wyposażona w armaty mogące odeprzeć wszelkie ataki. Miejsce to powstało w ramach dofinansowania z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego i Urzędu Gminy Byczyna. Odbywają się tutaj międzynarodowe turnieje rycerskie. Wśród załogi grodu znajdziemy prawdziwych kozaków z Białorusi. Zapewniają oni właściwy klimat temu miejscu. Na dobry początek przygotowali nam kąpiel w wielkiej drewnianej balii z podgrzewaną wodą.

Oczywiście pobyt na zlocie nie ograniczał się tylko do biesiadowania i odpoczynku. W trakcie dnia wyruszyliśmy na objazdy krajoznawcze, podczas których poznawaliśmy najbliższe okolice. Odwiedziliśmy m.in. Bolesławiec, gdzie zachowały się mury obronne oraz potężna wieża zbudowana z cegły w czasach panowania Kazimierza Wielkiego. Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, jednak widok z wieży po prostu zapiera dech w piersiach. Zwłaszcza po przejściu 77 schodów, częściowo ukrytych w klatce schodowej umiejscowionej w murach o dwumetrowej grubości.

Bardzo ciekawym miejscem okazał się Dom Pomocy Społecznej w Chróście. Został

on zlokalizowany w dawnym pałacu rodziny Łopuchinów. Generał Krasnokutski otrzymał majątek za zasługi w tłumieniu powstania styczniowego. Jego córka Tatiana wyszła za mąż za Iwana Łopuchina. Może dlatego wydarzyła się tutaj tragedia. Syn Łopuchinów wyszedł z domu i zaginął. Okazało się, że utonął na pobliskich bagnach. Ponoć do dzisiaj można spotkać blakającego się po bezdrożach chłopca mówiącego po rosyjsku.

Sam obiekt jest tak przyjazny dla pensjonariuszy, że niektórzy zaczęli zastanawiać się, czy po przejściu na emeryturę nie zamieszkać tutaj.

Nieopodal pałacu wzniesiono małą cerkiew. Była to świątynia mająca służyć za mauzoleum rodziny Łopuchinów. To tutaj został pochowany ich synek.

Gołkowice to miejscowość szczycąca się, tak jak sąsiednie, pięknym drewnianym kościołkiem. Ten jest pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Warto tutaj zwrócić uwagę na belkę tęczową, na której umieszczono rok budowy – 1766. Jeśli ktoś zechce dowiedzieć się czegoś więcej, wystarczy podpytać opiekuna dysponującego kluczami. Naprawdę warto.



Ale Gołkowice to także uratowany przez pasjonata pałac. Po wojnie pozostawiony na pastwę losu, popadł w ruinę. Dopiero pod koniec poprzedniego wieku, gdy zobaczył go miejscowy przedsiębiorca, postanowił przejąć obiekt i tchnąć w niego życie. Na szali postawił całe swoje życie. Dosłownie. Sprzedał wszystko, co miał, zlikwidował dobrze prosperującą firmę, by zdobyć fundusze na wykup obiektu. Dzisiaj działa tu gospodarstwo agroturystyczne oraz prowadzone są lekcje jazdy konnej. Wszystkie działania prowadzone są z funduszy własnych. Ośrodek, mimo iż położony na uboczu, nie cierpi na brak klientów. Może dlatego, że rodzina prowadząca go jest niezwykle życzliwie nastawiona do turystów.



Niesamowite wrażenie sprawił na nas wystrój drewnianego kościoła pw. św. Jacka w Miechowej. Początkowo była to niewielka kaplica wzniesiona dla ewangelików. Czas budowy oznaczono na belce – jest to rok 1529. Niesamowitość tej świątyni polega na zachowanym wyposażeniu wczesnobarokowym. Zresztą cały obiekt pokryty jest XVII-wiecznymi kolorowymi malowidłami o motywach roślinnych. Nawet drzwi wejściowe są tak kolorowo zdobione, że trudno oderwać od nich wzrok. Nic dziwnego, że parafia św. Augustyna w Kostowie otrzymała nagrodę „Zabytek zadbany” przyznaną przez Generalnego Konserwatora Zabytków za kompleksowy remont tego kościółka.

Kolejnym pięknym drewnianym kościołkiem może poszczycić się miejscowość Rożnów. Jego fundatorem był starosta warszawski Jan Wielopolski. Obok kościoła wzniesiono grobowiec rodziny von Eben. Zaprojektował go Carl Gotthard Langhans, twórca wielu obiektów na Ziemi Jeleniogórskiej (najbardziej znanym jego dziełem jest Brama Brandenburska w Berlinie). Forma budowli – piramida o wysokości 9 metrów – przyczyniała się do mumifikacji zwłok.

Tym razem nasz zlot odbywał się w terminie pokrywającym się z obchodami 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Dlatego też, oprócz uczestniczenia w uroczystościach zaplanowanych w Byczynie, postanowiliśmy sami zadbać o stosowną oprawę tak ważnego dla nas święta. Wszyscy przypięliśmy do piersi kotylio-ny, a ostatniej nocy został oddany strzał armatni. Na pewno był on słyszany w całej okolicy.

Tradycyjnie na zlocie najważniejszym posiłkiem jest niedzielne śniadanie, przygotowywane własnoręcznie przez uczestników. Niełatwo jest usmażyć jajecznicę ze 140 jaj, kilku kilogramów boczku, kielbasy i cebuli. Tym razem udało się, była wyśmienita.

Dodam tylko jeszcze, że w zlocie uczestniczyła bardzo liczna grupa jeleniogórczan.

Krzysztof Tęcza

Marian zaprasza do Ojcowa

Każde spotkanie naszej turystycznej rodziny już u swoich początków niesie jakąś charakterystykę, jakąś daną odróżniającą je od innych spotkań. W pewnym sensie to nie dziwi – spotykamy się za każdym razem gdzie indziej, kto inny przygotowuje program, skład osobowy też nie zawsze jest taki sam... 41. Krajoznawcze Spotkanie Rodzinne zapisze się w naszej pamięci tym, że spotkaliśmy się trzeci raz pod rząd w parku narodowym.

Marian, nasz druh z gór, krakowianin, ale zarazem góral beskidzki, zaprosił nas do Ojcowskiego Parku Narodowego. Przypomnę – w październiku ubiegłego roku spotkaliśmy się w Kampinoskim Parku Narodowym, a na początku tego roku w Parku Narodowym Gór Stołowych. Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy zdobywać jakąś odznakę związaną z parkami narodowymi. Bo przecież, gwoili ścisłości, byliśmy też w Parku Narodowym „Ujście Warty”, Białowieskim Parku Narodowym, Słowińskim, Bieszczadzkim, Roztoczańskim, Tatrzańskim, Karkonoskim... A ile parków krajobrazowych – trudno zliczyć. Nasze krajoznawstwo dotyczy miejsc wybitnych przyrodniczo i kulturowo, to jest dla nas bardzo ważna wartość dodana. Możemy zadać sobie ciekawe pytanie wybiegające w przyszłość – czy uda się nam poznać w ramach Krajoznawczych

Spotkań Rodzinnych pozostałych 13 parków narodowych? To oczywiście pytanie retoryczne, być może nigdy nie odpowiemy na nie, ale...

Marian przygotował dla nas program bardzo ambitny. Już w pierwszym dniu, w piątek po południu, zwiedziliśmy jedną z najpiękniejszych dolinek krakowskich – Dolinę Będkowską. Marian pilnował, by była to atrakcyjniejsza jej część. Od schroniska młodzieżowego „Małgosia” (nie mylmy ze schroniskiem PTSM – też w Łazach), ścieżkami dydaktycznymi doszliśmy do Jaskini Nietoperzowej. To jedna z największych jaskiń Jury Krakowsko-Częstochowskiej, o długości korytarzy 376 m. W jej największej sali



Słynna Rękawica widoczna od strony Jaskini Ciemnej

zmieściłaby się pełnowymiarowa sala gimnastyczna. Nie trzeba wyjaśniać, skąd wzięła się nazwa, ale należy powiedzieć, że oprócz nietoperzy, które trudno wypatrzeć, są wodospady naciekowe, draperie, kotły wirowe i inne utwory krasowe, których nie można nie zauważyć. Byliśmy pod wrażeniem piękna tej jaskini, ale też jej zagospodarowania i przystosowania do pokazywania turystom. W Dolinie Będkowskiej znajdują się też inne jaskinie, my tylko spoglądaliśmy w ich kierunku – nie są udostępnione do zwiedzania, ale nie ma przeszkód, by je na własną rękę eksplorować. Dziś doszliśmy do źródeł Będkówki i do wodospadu Szumy, mijając po drodze ciekawe utwory skalne – Gęsiarnię, Czarcie Wrota, Hades, Sokolicę, Iglicę. Jest tu też ciekawa skała o niecodziennej nazwie Dupa Słonia. Ktoś miał takie dziwne skojarzenia, ale znalazł się też jakiś obrońca dobrych manier, który nadał tej skale nazwę Zamczysko. Cóż, może intencja tego nazwodawcy była i słuszną, ale prawdą jest, że zamczysk w naszym kraju mamy wiele, ale Dupę Słonia (oczywiście poza ogrodami zoologicznymi) jedną i akurat tę nazwę wszyscy zapamiętują.

Piątkowe popołudnie spędziliśmy na obrzeżach Ojcowskiego Parku Narodowego, ale już sobotę i niedzielę tylko w Parku. Wędrówek i atrakcji było dużo, Marian o to zadbał. Z perspektywy czasu możemy powiedzieć, że to, co najpiękniejsze i najważniejsze, zobaczyliśmy i przeżyli. I przetrwaliśmy, bo trasy były długie, a pogoda – nie kwietniowa, a z lipca.

Ze schroniska „Małgosia” dojście do Parku jest mało ciekawe i monotonne, ale gdy już tam dotarliśmy niebieskim szlakiem, radowały się nasze serca. Wędrowaliśmy lasem, więc upał nie dawał się we znaki. Szlak doprowadził nas pod Jaskinię Łokietka. Wszyscy wiedzą, że to najbardziej ze wszystkich jurajskich znana jaskinia, co jest zasługą jej walorów, ale też niewątpliwie utrwalonej w umysłach legendy o cudownym ocaleniu Władysława Łokietka. Po zwiedzeniu jaskini, co zajęło nam w sumie prawie godzinę, przeszliśmy przez słynną Bramę Krakowską. A tuż za nią – Źródło Miłości, dokąd udają się po pomoc (a może i po moc) spragnieni miłości. Niektórzy z nas też tam byli i wodę pili, ale chyba raczej dla ochłody i przed dość wyczerpującą wspinaczką do Jaskini Ciemnej. Byłem tu ostatnio w połowie lat 90. ubiegłego wieku i wtedy mogłem przekonać się na własne oczy o trafności jej nazwy. Wejście do jaskini było niskie, pamiętam, że musiałem lekko schylić się, pamiętam też, że pani przewodniczka rozdawała świece. Pod koniec zwiedzania pani, która przed chwilą wprowadziła nas w absolutną czerń, powiedziała, byśmy zgasiłi wszelkie światła i spojrzeli w głąb jaskini. I wtedy naszym zdumionym oczom ukazała się w sinoniebieskoszarej, baśniowej wręcz poświacie, potężna sala wielkości boiska do koszykówki. Co się stało? Otóż przywykliśmy do ciemności i aż zadziwiło nas, ile światła wpada do wnętrza jaskini przez jedyny, mały otwór, którym się wchodzi i wychodzi. Dziś jest podobnie, ale wejście ucywilizowano, chyba też lekko poszerzono, bo odniosłem wrażenie, że do jaskini wpada dużo więcej światła. Jest w dalszym ciągu bardzo ciemna na wejściu, ale przed wyjściem nie miałem już tego, co dawniej, księżycowego przeżycia. Na szczęście pozostała jej zasługa, jako bodaj najstarszej na naszych ziemiach siedziby neandertalczyków. Jako miłośnik przyrody pragnę jeszcze podziękować przewodnikowi, że pokazał nam, już pod koniec pobytu w jaskini, tutejszą osobliwość – całkiem żywego pajęczaka o ekscytującej nazwie – czaik Menarda. Nazwę nosi adekwatną do sposobu życia – tu na jakąkolwiek przekąskę trzeba długo się czaić. Jeszcze tylko, w zupełnej już jasności, podziwialiśmy Rękawicę, która, o dziwo, tak od strony Jaskini Ciemnej, jak i Bramy Krakowskiej wygląda prawie identycznie... i już szliśmy wzdłuż Prądnika do Ojcowa, stolicy Ojcowskiego Parku Narodowego.

Stolica – to brzmi szumnie i dumnie, ale myślę, że można użyć tego określenia dla małej miejscowości leżącej w centrum najmniejszego w Polsce parku narodowego. Tu bowiem znajduje się siedziba Ojcowskiego Parku Narodowego, tutaj też, w okazałym, jak na tutejsze standardy, budynku „Pod Łokietkiem”, usytuowano Ośrodek Edukacyjno-Dydaktyczny. Gorąco polecamy obejrzenie ekspozycji wykorzystującej

najnowocześniejsze techniki wystawiennicze i technologię 3D. W sposób zrozumiały i atrakcyjny dla turysty w każdym wieku są tu przedstawione: zagadnienia związane z geologią, zwłaszcza zjawiskami krasowymi; przeszłość archeologiczna, również ta związana z bytnością w epokach bardzo dawnych człowieka neandertalskiego i homo sapiens; współczesne bogactwo przyrodnicze tego terenu.

W Ojcowie znajdują się też dwa starocie naprawdę godne zwiedzenia. To zamek i kaplica „Na Wodzie”. Oba są przykładami niezwykle wprost ludzkiej pomysłowości. Zamek jest, a może ściślej – był (bo to dziś ruina z jedyną ocalałą basztą) tak zespolony ze skałami, że czapki z głów przed ówczesnymi architektami. Kaplica „Na Wodzie” zaś to kapitalny przykład omijania głupiego, bezdusznego prawa. Zaborca zakazał budowania świątyń na ziemi, więc zbudowano kaplicę na wodzie, konkretnie nad rzeczką Prądnik. Liczy sobie prawie 120 lat, jest świątynią czynną i zapewne długo jeszcze będzie cieszyć oczy i serca wiernych i turystów.

Nasza rodzinna niedziela zaczęła się właśnie przy kaplicy „Na Wodzie”, mogliśmy nawet uczestniczyć we mszy niedzielnej. Stąd udaliśmy się do Grodziska, by poznać niezwykle dzieje bł. Salomei i zawrzeć znajomość z bardzo słynnym słoniem. Dawno temu, w XIII wieku, upodobała sobie to miejsce Salomea, córka Leszka Białego. Po śmierci swojego męża Kolomana, króla Halicza, wróciła do Polski i najpierw w Zawichocie, a potem w Skale (a to już całkiem blisko jej przyszłej pustelni) osiadła w klasztorze klarysek. Prawie całe życie trwając w czystości, nawet w małżeństwie, w pustelni umartwiała swe ciało. Wielkie wrażenie, zwłaszcza chyba na dzisiejszych dziewczętach, robi jej kamienne łóżko. Na szczęście było to prawie osiem wieków temu i od tamtych czasów zwyczaje i zachowania mocno się zmieniły. No a słonik? Tak pieszczotliwie o nim mówimy, a to rzeźba słonia z obeliskiem na grzbiecie, wzniesiona tu w 1687 roku na cześć wiedeńskiej wiktorii, wzorowana na rzymskim pierwowzorze. Na korpusie słonia wryto napis *Ciężar mój jest lekki*. Warto wczytać się i zadumać.



Pustelnia błogosławionej Salomei



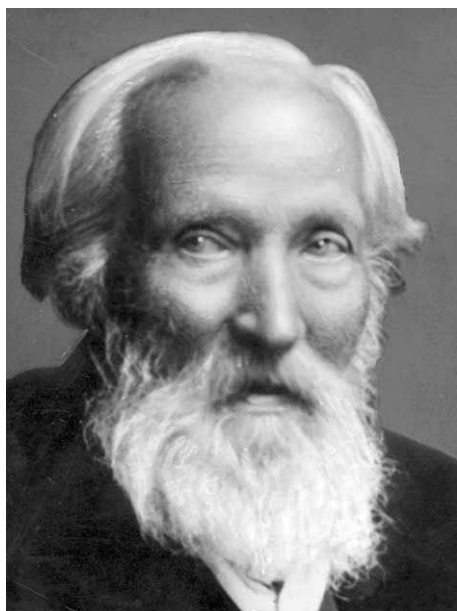
My i Maczuga Herkulesa

Nasze 41. spotkanie rodzinne zakończyliśmy w Pieskowej Skale. W XIV w. zbudowano tu „orle gniazdo” i jakimś trafem ostało się ono w stanie niezmiennym, nie licząc kilku przebudów, jako jedyne w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Oznacza to, że zamku nie zburzono w czasie jakichś walk, za to był on kilka razy przebudowywany na różne modły. Ale to, co go spotkało w ostatnich latach, sprawiło, że można zaryzykować twierdzenie, iż współcześnie został naruszony. Być może komnaty z bogatymi wystawami mebli, rzeźb i obrazów, są takie, jak dawniej, ale z zewnątrz? Przecież jeszcze w latach 90. wyglądał dość staro – i takim go zapamiętałem. Trzeba mieć nadzieję, że za pół wieku elewacja trochę ściemnieje i zamek znów będzie wyglądał na swoje lata – a będzie ich wówczas miał prawie 700.

Spotkanie zakończyliśmy wspólnym pić kawy w bardzo nowocześnie urządzonej kawiarni zamkowej. Znam różne stare, zamkowe lokale, gdzie bezwiednie ściszamy głos, by usłyszeć dawne wieki. Tu rozpanoszyła się nowoczesność. Na szczęście Maczuga Herkulesa stoi jak stała i przynajmniej to jedno się nie zmieniło – średniowieczni władcy widzieli ją z okien i tarasów taką, jaką my ją dziś widzimy. Wspólne zdjęcie pod Maczugą ostatecznie zakończyło nasze spotkanie. Rozstawaliśmy się na krótko – już za miesiąc zjeżdżamy do Skierniewic. A tu i w najbliższych okolicach wspaniała przyroda, pałace, parowozy a także... spotkania z pewnym bardzo znanym profesorem i z pewnym nieszczęśliwie zakochanym bohaterem literackim. Będzie ciekawie!

Sławomir Chojnacki, kwiecień 2018 r.

Benedykt Dybowski



Gdy wszedłem do limnologicznego Muzeum Bajkalskiego w Listwiance, w pierwszej sali ujrzałem na ścianie trzy portrety. Patrzyli z nich na mnie Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski i Jan Czerski. Nie spodziewałem się, że na Syberii będzie się czcili w ten sposób polskich zesłańców. A jednak portrety tych ludzi znalazły się tu całkiem zasłużenie. Przypomnijmy dziś sobie postać lekarza, przyrodnika i odkrywcy Benedykta Dybowskiego.

Urodził się 30 kwietnia 1833 r. w rodzinie szlacheckiej, jako syn Jana Dybowskiego i Salomei. Rósł w dzierżawionym folwarku w gronie 5 siostr i braci w Adamczynie (Adamarynie) niedaleko białoruskiego Mińska. Uczył się w domu, następnie w gimnazjum w Mińsku. Studia rozpoczął w inflanckim Dorpacie (dziś: Tartu w Estonii), ale tu ich nie ukończył, bo został wydalony za sekundowanie w pojedynku kolegi. Załamał studia na uniwersytecie we Wrocławiu jako lekarz, a następnie w Berlinie uzyskał stopień doktora medycyny (1860). Wrócił do Dorpatu, by obronić tu drugi doktorat – z zoologii, na temat ryb. Podjął pracę adiunkta w Katedrze Zoologii Szkoły Głównej Warszawskiej (1862).

Młody lekarz, syn powstańca listopadowego, podczas powstania styczniowego wszedł w skład Rządu Narodowego (1863) jako komisarz

na Litwę i Białoruś. W lutym 1864 r. został aresztowany, a w lipcu tego roku sąd wojenny skazał go na karę śmierci. Jego dawni niemieccy profesorowie skłonili kanclerza Niemiec Otto von Bismarcka do podjęcia dyplomatycznej interwencji, która poskutkowała zamianą kary śmierci na 12-letnie zesłanie. W ciągu 4 miesięcy więźniowie przebyli 8 tysięcy kilometrów, w tym drogę z Tobolska do Irkucka piechotą. A Dybowski niósł cięższy tobieł niż inni, bo wziął ze sobą, prócz odzieży, także mikroskop, lupy, książki naukowe i narzędzia chirurgiczne. W Irkucku od wiosny 1865 r. czekał 3 miesiące na decyzję w sprawie miejsca zesłania. Czas wypełnił czytaniem książek o faunie Syberii. Skierowany do zabajkalskiej wsi Siwakowa koło Czyty wraz z trzema towarzyszami niedoli, kupił od innych przesiedlanych zesłańców chatkę 3 x 3 metry. Stała się ona jego miejscem zamieszkania, ale i udzielania za darmo pomocy lekarskiej współwięźniom, a także oficerom rosyjskim. W ten sposób zdobył sobie zaufanie środowiska, mógł już podróżować w okolicy. Jako człowiek o władnięty misją naprawiania świata i służenia społeczeństwu, postanowił wykorzystać czas pobytu na Syberii na badania przyrodnicze. Szczególnie zainteresowało go jezioro Bajkał, które było jakoby prawie pozbawione prostych organizmów żywych. Zdobył więc zezwolenie na zamieszkanie w Kułtuku nad jeziorem i zaczął badać jego faunę. Badania prowadził wspólnie z innymi zesłańcami, wśród których byli Aleksander Czekanowski i Wiktor Godlewski.

Już podczas pierwszej zimy Dybowski doświadczył ekstremalnych warunków, z temperaturami do minus 40 stopni. W lodzie robił liczne przeręble co 100 metrów, kilka kilometrów od brzegu. Łowił ryby, skorupiaki, mięczaki i gąbki słodkowodne. Część organizmów badał sam, a część wysyłał znanym przyrodnikom we Lwowie, w Krakowie i Berlinie. Wychodząc z teorii Darwina potwierdził zmienność fauny Bajkału pod wpływem miejscowych warunków. Wspólnie z kolegami odkrył w jeziorze 116 nieznanych wcześniej gatunków skorupiaków i 6 gatunków ryb. Opisał 400 gatunków zwierząt z Bajkału. Wraz z Godlewskim prowadził też obserwacje meteorologiczne i badał wody jeziora. W swych wspomnieniach pisał: *Kilka tygodni z rzędu przebywaliśmy na lodzie Bajkału, bez namiotu, nocowaliśmy, ścieląc posłanie na powierzchni lodów i śniegów. Wróciliśmy do Kułtuku z obrzękłymi twarzami, z popękanyimi ustami i czerwonymi oczami, ale zadanie, jakie sobie postaviliśmy, zostało wykonane.* Polacy znaleźli wtedy głębię 1573 m (dziś wiadomo, że największa głębina Bajkału wynosi 1637 m). Dybowski stał się jednym z twórców limnologii (nauki o jeziorach).

W tym czasie w Irkucku już od 1851 r. funkcjonował oddział Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Kierował nim Polak generał Bolesław Kukiel, który był szefem sztabu wojsk Wschodniej Syberii. On załatwiał finansowanie wielu ekspedycji, pomagając w ten sposób polskim zesłańcom, nieprzystosowanym do zarobkowania w syberyjskich warunkach. W 1869 r. Dybowski, jako lekarz, brał udział

w ekspedycji naukowej do krajów Amurskiego, Nadmorskiego i Ussuryjskiego. Następnie prowadził badania fauny nad rzeką Ussuri i nad jeziorem Chubsugol (Chovsgol) w Mongolii. Podczas trzyletniej ekspedycji (od 1872 r.) łodzią po Amurze aż do Morza Ochockiego i Japońskiego odkrył nowy podgatunek jelenia, który nazwano imieniem odkrywcy. Powróciwszy nad Bajkał zajął się fauną znad Angary. Za swoją pracę naukową otrzymał złoty medal IRTG. Po zakończeniu zesłania w 1876 r. groziło mu przymusowe osiedlenie na Syberii, ale starania Towarzystwa pomogły otrzymać zgodę na powrót do kraju.

W 1877 r. wrócił do Warszawy. Nie znalazłszy tu odpowiedniej pracy, wyjechał do Petersburga, by w IRTG (którego był członkiem) przedstawić koncepcję prowadzenia badań przyrodniczych na Kamczatce. Wyraził chęć zatrudnienia się tam w charakterze lekarza. Dzięki pośrednictwu Towarzystwa otrzymał pozytywną decyzję władz.

Dybowski przybył do Pietropawłowska w czerwcu 1879 r. i podjął pracę lekarza okręgowego Kamczatki, gdzie na obszarze większym niż Polska żyło zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. W ciągu czterech lat pięć razy objechał półwysep saniami w zaprzęgach reniferów lub psów. Trzykrotnie odwiedził Wyspy Komandorskie. Po drodze leczył ludzi, walczył z epidemiami ospy i trądu. Zapoznawał się z życiem miejscowej ludności, zbierał okazy przyrodnicze, badał źródła wód mineralnych. Budował szpitale. Aby przeciwdziałać głodowi wśród miejscowej ludności, zakupił i sprowadził z Ameryki na Kamczatkę kozy i króliki, a na Wyspę Beringa – renifery i konie. Prowadził badania językoznawcze; zebrał pokaźny materiał lingwistyczny języków i narzeczy Kamczatki.

Dybowski bardzo wysoko oceniał lud mieszkający na Kamczatce. W swoich wspomnieniach z 1886 r. pisał: *Wśród plemion, z którymi spotkałem się w życiu, jedno z najsympatyczniejszych jest dla mnie to, które zamieszkuje półwysep kamczacki, nazwane przez etnografów Kamczadłami (dziś: Kamczadałowie). Sympatię ku sobie budzi ono przymiotami moralnymi: łagodnością, miłością rodzinną, gorącym przywiązaniem do miejsc urodzenia, pragnieniem wiedzy i pełną poświęcenia gościnnością. U Kamczadłów miłość rodziców do dzieci i nawzajem jest rzeczywiście rozrzuwająca. Nieraz byłem świadkiem tak głębokich i wzruszających dowodów tego uczucia z obu stron, takiego poświęcenia, że bez wahania mogę postawić Kamczadłów jako wzór miłości rodzicielskiej. Nigdy grubiańska groźba lub łajanie obelżywe nie skala ust matki, nigdy ręka ojcowska nie podniesie się na dziecko, a pomimo to nie spotkałem tam dzieci krnąbrnych ani kapryśnych. Kobieta-matka jest półbóstwem domowym, otoczonym czcią, szacunkiem i miłością ogólną. W kole rodzinnym pierwsze miejsce zajmuje kobieta, ona rządzi rodziną i domem.*

Wzajemnie, Kamczadałowie wysoko cenili Dybowskiego, nazywając go Dobrym Białym Bogiem. Szacunek dla swojego lekarza wyrazili nawet w 20 lat po jego wyjeździe z Kamczatki, przysyłając mu szkielet krowy morskiej, zwierzęcia, które całkowicie wyginęło w 1768 r. Był to jedyny taki szkielet na świecie.

W 1883 r. Dybowski, wraz ze zbiorem okazów przyrodniczych o ciężarze prawie 12 ton, wyjechał z Kamczatki, by objąć Katedrę Zoologii na Uniwersytecie Lwowskim. Kolekcja stała się załącznikiem wystawy (1884), a następnie okazy trafiły do muzeów Warszawy, Krakowa, Moskwy, Kijowa i Irkucka. Dybowski pracował we Lwowie do emerytury, na którą przeszedł w 1906 r.

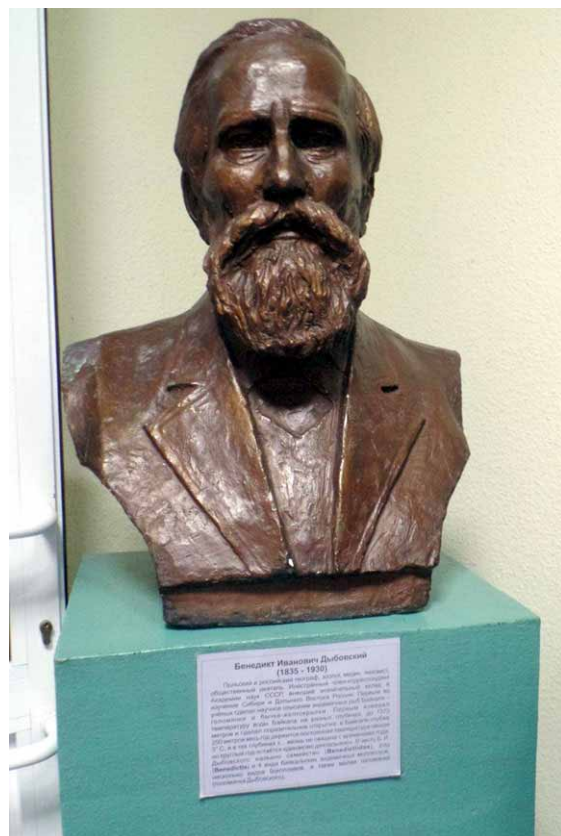
W wieku 80 lat pojechał do Kijowa odwiedzić córkę (jej matka Helena była o 30 lat młodsza od ojca). Właśnie wtedy wybuchła I wojna światowa. Jako poddany austriacki o mało nie znalazł się znowu na Syberii. I tym razem pomogli profesorowie z IRTG. Dzięki nim mógł wrócić do Lwowa.

Będąc na emeryturze Dybowski zajmował się przyrodoznawstwem, publikował liczne artykuły, sprawował opiekę nad uniwersyteckim muzeum zoologicznym. Opublikował łącznie 350 prac. Otrzymał Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1921). Został członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, także członkiem zagranicznym Akademii Nauk ZSRR. Stał się honorowym obywatelem Lwowa (1929).

Zmarł we Lwowie 30 stycznia 1930 r. Pochowano go na Cmentarzu Łyczakowskim wśród powstańców styczniowych.

Imieniem Dybowskiego nazwano ponad sto gatunków zwierząt i roślin. Jego imię nosi najwyższa góra Wyspy Beringa (751 m). W Irkucku jest ulica Dybowskiego. Jego imieniem nazwano stację naukową nad Bajkałem. W Adamarynie na Białorusi odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci Benedykta Dybowskiego.

Janusz Fuksa



Dybowski w Muzeum Bajkalskim

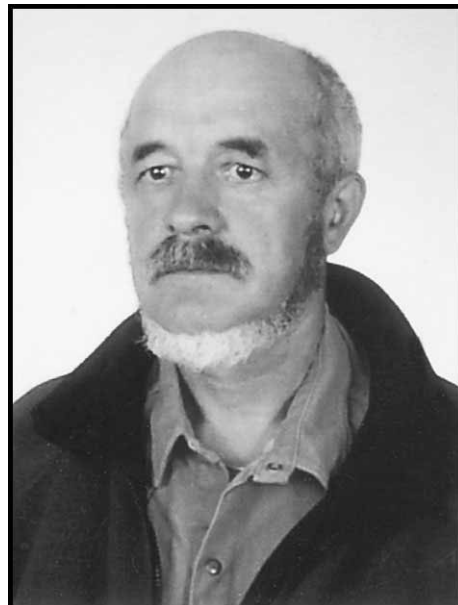
Pożegnanie Włodzimierza Bayera

Włodzimierz Bayer, Włodek, znany był chyba każdemu, kto wędrował po Karkonoszach. Ale nie tylko. Przez wiele lat Jego pasją było poznawanie Beskidów. Dopiero później, kiedy dotarł w Karkonosze pojął, że to jest to. Postanowił zostać tu na stałe. Zapisał się na kurs przewodnicki i po uzyskaniu uprawnień zaczął oprowadzać wycieczki. Jednak nigdy nie poprzestał na tym. Cały czas zdobywał nową wiedzę o historii tych rejonów, o ich zabytkach, ciekawostkach. Poznał także sam teren, zachwycał się krajobrazem, dzięki czemu znał wiele zakątków i miejsc, które dla innych wciąż były tajemnicą. Chętnie dzielił się swoją wiedzą, zarówno teoretyczną, jak i praktyczną z innymi. Mimo tego często brał udział w spotkaniach doszkalających dla przewodników. Uczestniczył też w seminariach i spotkaniach dotyczących naszego terenu.

Włodek, jako przewodnik, oprowadzał grupy po górach, jednak wiele czasu poświęcał turystom prowadząc wycieczki społecznie. Chętnie działał na rzecz naszego oddziału PTTK. Początkowo prowadził wycieczki z cyklu „W niedzielę nie ma nas w domu”, zapoczątkowane przez Mieczysława Holza. Później wymyślił własny cykl „Wycieczek z bajerem”. W końcu zaczął prowadzić wymyślone przeze mnie „Spacery krajoznawcze”. I muszę przyznać, mimo że spacery te wymagały wiele wysiłku i czasu, Włodek ciągle dzwonił do mnie z pytaniem: *Krzychu, kiedy mogę poprowadzić kolejną wycieczkę?*

Włodek, mimo swojego wieku, miał dobrą kondycję. Mogłem to zaobserwować podczas wielu wspólnych wycieczek po Karkonoszach. Kiedy wyruszaliśmy sami, we dwójkę, i nic nie ograniczało naszych pomysłów, staraliśmy się poznawać zapomniane miejsca w górach. Często nasze wędrówki trwały kilka dni, wtedy Włodek ujawniał swój kunszt kulinarny. Przygotowywał z przyniesionych przez nas produktów pyszne dania. Gdy nocowaliśmy w chatkach, nigdy nie unikał zwyczajowych prac związanych z pobytem w takich miejscach. Zawsze pomagał w narąbaniu i przyniesieniu zapasu opału czy posprzątaniu chatki i zabraniu znajdujących się tam śmieci.

Zresztą w życiorysie Włodka jest okres, kiedy był chatarem w chatce AKT. Trwało to pięć lat. Mieszkał wówczas w chatce, którą się opiekował. Jednak słowo „mieszkał” nie oddaje w pełni tego, co robił. Włodek bowiem, tak jak każdy chatar, przede wszystkim opiekował się chatką, dbał o porządek w niej i wokół niej, pilnował, by zawsze była gotowa do przyjęcia turystów. Dbał także o egzekwowanie regulaminu. Często Jego zachowanie nie podobało się przybyłym, zwłaszcza takim, którzy chcieli potraktować to miejsce jako punkt wypadowy do „dobrej zabawy”. Na to nigdy nie pozwalał i właśnie ta postawa niejednokrotnie wywoływała sprzeciw. Zawsze jednak potrafił wybrnąć z takich sytuacji zwycięsko. Oczywiście wiązało się to z późniejszymi



03.01.1946 – 03.11.2018



opowieściami krążącymi po okolicy. Tym jednak Włodek się nie przejmował. Był „twardzielem”.

Włodek w swoim życiu zawodowym był pilotem wojskowym, posiadał więc niezwykły dar. Potrafił w mgnieniu oka zorientować się w terenie czy spojrzawszy na mapę zapamiętać jej szczegóły. Oczywiście nie oznacza to, że nigdy się nie zgubił w górach. Zdarzało się, że nieraz błędziliśmy, ale były to sporadyczne przypadki. Co ważniejsze, takie nieplanowane zejścia ze szlaku przyczyniały się do znajdowania ciekawych miejsc czy szczegółów ukrytych w zaroślach.

Muszę zdradzić, że Włodek starał się zbierać wszelkie zasłyszane ciekawostki, nawet te nieprawdopodobne. Wiele razy, gdy odwiedzałem Go w domu, dzielił się nimi ze mną prosząc, bym spróbował je zweryfikować.

Niejednokrotnie zabierałem Włodka na rekonesans, mam bowiem zwyczaj sprawdzania terenu przed ważniejszymi imprezami. Początkowo zastanawiałem się, czy czynię właściwie proponując Mu udział w takich wycieczkach. W końcu wydawało mi się, że zna teren na tyle dobrze, że już niczym nie mogę Go zaskoczyć. Okazywało się jednak, że nie tylko chętnie brał w nich udział, ale też wyrażał swoją wdzięczność za możliwość uczestniczenia w tych poszukiwaniach. Ba, okazywał wielką radość, gdy trafialiśmy na coś, czego jeszcze nie znał.

Włodek dłuższy czas chorował, nie poddawał się jednak. Wciąż walczył mając nadzieję, że chemia przyniesie oczekiwane rezultaty. Niestety, po chwilowym uspieniu choroba powróciła. Było coraz ciężiej. Włodek coraz bardziej potrzebował zarówno pomocy, jak i po prostu samej obecności drugiego człowieka. Nie pozostał jednak sam. Niemal codziennie odwiedzali Go znajomi. Przyjeżdżali do domu, jak i do szpitala. Gdy choroba przykuła Włodka do szpitalnego łóżka, dowiedział się ilu ma przyjaciół. Nie było dnia, by ktoś nie pottrzymał Go za rękę. I nawet, kiedy w ostatnich dniach nie do końca był świadom tego, co się wokół Niego dzieje, czuł bliskość znajomych. Czuł, że nie pozostawili Go samego.

Pogrzeb Włodka odbył się 7 listopada 2018 roku. Zgodnie z Jego życzeniem pochowano Go na nowym cmentarzu w Cieplicach. Wiele z uczestników ceremonii pogrzebowej opowiedziało, kim w ich życiu był Włodek. Wiadomo, że współpracował z Towarzystwem Izersko-Karkonoskim, że był związany ze Szkołą Narciarską „Aeskulap”, jednak najdłużej, bo od 1963 roku działał w ramach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Najpierw w Poznaniu, później w Jeleniej Górze.

Jak już wspomniałem, przez wiele lat był gospodarzem w chatce AKT. Nic więc dziwnego, że drugim Jego życzeniem było odwiedzenie chatki po raz ostatni. Aby je spełnić, zaprosiłem wszystkich, dla których Włodek

był w jakiś sposób ważny, na wspólny spacer w góry – tak, by właśnie w chatce Go powspominać. Spotkaliśmy się 12 listopada 2018 roku i udaliśmy się na Bażynowe Skały, gdzie znajduje się ołtarzyk, na którym ustawiliśmy zapalone znicze.

Myślę, że Włodek, patrząc tam z góry, uśmiechał się do nas. A my, no cóż, zeszliśmy na dół, do codzienności. Nie znaczy to jednak, że zapomnimy o naszym Koledze. Wręcz przeciwnie, będziemy o Nim pamiętali. Wszak był postacią nietuzinkową.

Krzysztof Tęcza



Trekking do krateru wulkanu Pinatubo

Wulkan Pinatubo znajduje się w Luzonie Środkowym na Filipinach, które są trzecim najbardziej narażonym na występowanie katastrof naturalnych krajem na Ziemi. Do lat 90. XX wieku wulkan Pinatubo nie był powszechnie znany na świecie. 15 czerwca 1991 roku nastąpiła jego katastrofalna erupcja. Według EM-DAT, w jej wyniku zginęło 640 osób, ponad milion ludzi zostało poszkodowanych, a szkody oszacowano na 211 milionów USD. Była to druga największa erupcja wulkaniczna w XX wieku na naszej planecie. Mieszkańcom Filipin to zdarzenie przypominało apokalipsę. Jego skutki są odczuwalne po dziś dzień. A jak wygląda sam wulkan Pinatubo obecnie?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, udałem się na miejsce katastrofy. Efekty swojej pracy zaprezentowałem na wystawie fotografii pt. „Trekking do krateru wulkanu Pinatubo”. Otworzyłem ją 13 listopada 2018 r. w Gościńcu na Starówce w Kowarach.

Prezentowane zdjęcia wykonałem przy okazji stażu naukowego w Azji w październiku br. (Brown International Advanced Research Institutes Philippines 2018 Community Resilience for Natural Disasters), na który zostałem zaproszony jako alumn Uniwersytetu Browna. Na fotografiach można zobaczyć przejazd do obozu głównego samochodem z napędem na cztery koła, Crow Valley, koryto rzeki O'Donnell, byki wodne, dżunglę, drzewa zniszczone w wyniku erupcji wulkanu, tereny zalewowe pokryte laharem, lawiny błotne, gorące źródła, strumienie siarki, jezioro w kraterze wulkanu czy mieszkańców, którzy żyją w obszarze zagrożenia.

Wystawę „Trekking do krateru wulkanu Pinatubo” można oglądać za darmo w Gościńcu na Starówce w Kowarach przy ul. 1-go Maja 23. Jest czynna codziennie w godz. 12.00–18.00 do końca 2018 roku.

Zbigniew Norbert Piepiora

Fot. Zbigniew Norbert Piepiora



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"

przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wystouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



ISSN 1230-9931

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.